egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
LUBLIN

● SĄD NAD MIKOŁAJCZYKIEM ● KTO JEDZIE DO USA? ● WYROK NA „ŁAPACZY" ARBEITSAMTU ● PIERIESTROJKA - UKRAIŃCY - POLACY ● SPÓR O PATRIOTYZM ● CO ZAGRAŻA LUBLINOWI?

TYGODNIK WSCHODNI

# relacje

LUBLIN, 20 - 26 IV 1989 R. NR 14 CENA 70 ZŁ

# OKRĄGŁY STÓŁ I CO DALEJ?

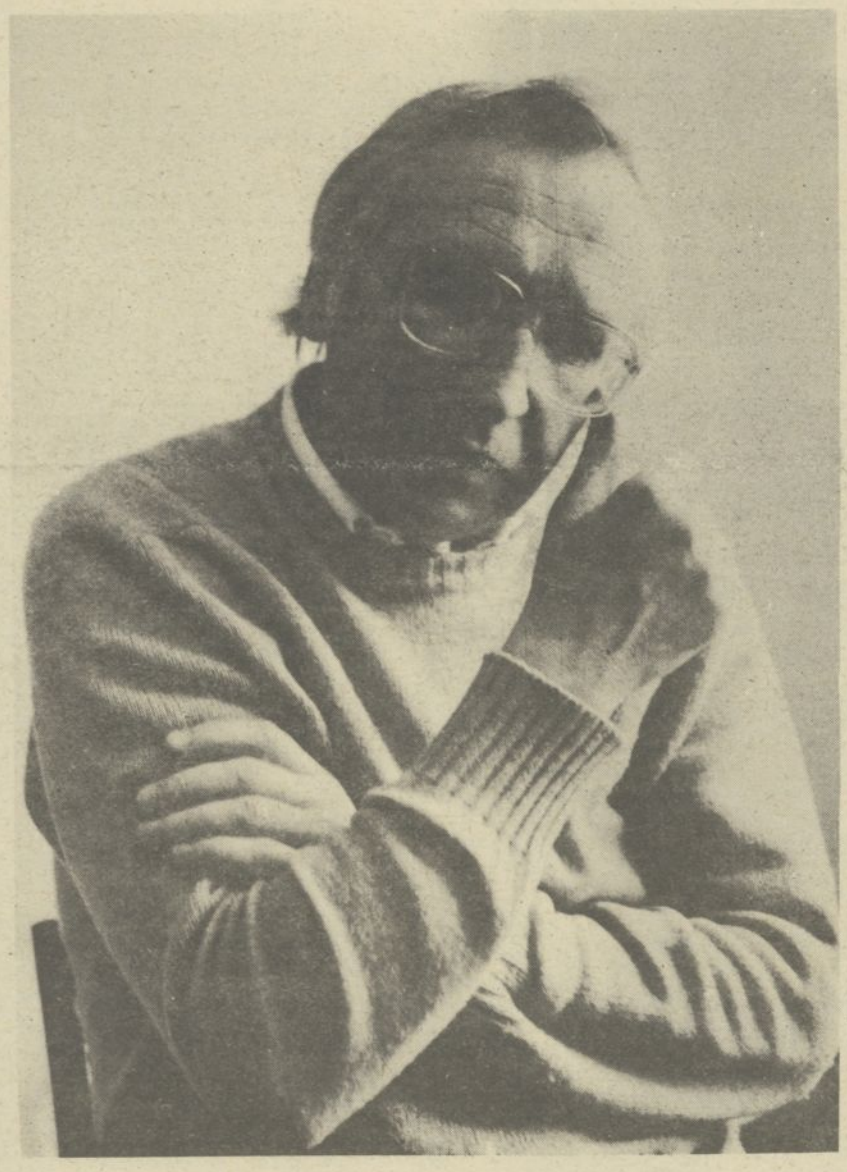

Doc. Josif Łoś: „Ukraińska mowa nawet w tundrze nie stała się karłowatą rośliną" — str. 6—7, 13. **Fot. Waldemar Stępień**

**Piotr Kryczka**

ZAKOŃCZONY niedawno „okrągły stół" jest niewątpliwie wydarzeniem bez precedensu w całej 45-letniej historii PRL. Jego ranga wykracza daleko poza granice Polski. Zaciekawienie, jakie wzbudza za granicą, łączy się z prognozowaniem przyszłego rozwoju Europy środkowo-wschodniej, gdyż stanowić może jeden z możliwych scenariuszy reformowania realnego socjalizmu.

W tytule mojej wypowiedzi „okrągły stół" stanowi jedynie hasło wywoławcze; w rzeczywistości interesuje mnie w głównej mierze drugi człon, a mianowicie: „i co dalej?". Do takiego podejścia skłania mnie fakt, że właściwie „okrągły stół" w rozumieniu wielu ludzi (jeśli ma odegrać znaczącą rolę w życiu kraju) musi być traktowany jako początek lub punkt wyjścia w dziele gruntownego reformowania państwa, zarówno jego struktur organizacyjnych, jak i zmiany mentalności Polaków. Jest więc w zasadzie niczym innym jak startem do długiego procesu społecznego.

Zapoczątkowany przez „okrągły stół" proces społeczny kryje w sobie wielki obszar niewiadomych, związanych z jednej strony, z nie najlepszymi przecież doświadczeniami stosunkowo niezbyt odległej przeszłości, z drugiej zaś — z bezprecedensowymi próbami rozwiązań, które ponadto przyjdzie realizować w sytuacji głębokiego kryzysu ekonomicznego.

Nie ulega wątpliwości, że „okrągły stół" wniósł do polskiego życia politycznego nową jakość: kompromis. Kategoria ta, która w demokratycznych systemach politycznych stanowiła zawsze niezwykle cenioną wartość, od ponad czterdziestu lat była nieobecna w polskim słowniku politycznym. Wyparła ją bowiem, z jednej strony, zasada „pryncypialności" myślenia i działania, wykluczająca możliwość artykułowania nadrzędnych interesów przy zachowaniu własnej tożsamości, z drugiej zaś — „zdrada", kwalifikująca w sposób jednoznacznie negatywny wszelkich aktualnych i potencjalnych „kolaborantów". Poszanowanie tożsamości podmiotów życia społecznego i politycznego, swoboda artykułowania ich ocen i opcji, uznanie kompromisu jako sposobu dochodzenia do consensusu tworzą również nową jakość „porozumienia", i nie jest to tylko zwykła semantyka. Miejmy nadzieję, że te nowe jakości okażą się trwałą zdobyczą „okrągłego stołu". Nic tak by ich nie skompromitowało i nie zniszczyło, jak próba manipulowania nimi w „praktyce" realizacji uzgodnień „okrągłego stołu". Tym bardziej, że i tak nie zabraknie innych trudności i zagrożeń.

Zacznijmy może od zagrożeń nie najistotniejszych pod względem ich ciężaru gatunkowego — bo te znajdują się w sferze gospodarki — ale mogących pojawić się stosunkowo najszybciej. Należeć do nich będzie w pierwszym rzędzie sposób przyjęcia uzgodnień „okrągłego stołu" przez szersze kręgi społeczne. **Byłoby dużą naiwnością sądzić, że zostaną one automatycznie, niejako z marszu i bezboleśnie wprowadzone w życie.** Są nagłaśniane przez masowe środki przekazu, społeczeństwo jest o nich w miarę szeroko informowane. Nikt jednak w tej chwili nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy zyskają one aprobatę i poparcie społeczne, zarówno sił już zorganizowanych, jak i dopiero organizujących się, nie mówiąc o reakcji tych, którzy z różnych względów pozostaną poza sferą zorganizowanego życia społecznego, a ze względu na swą „masę" muszą być także brani pod uwagę.

Sprawa ta ma szczególne znaczenie ze względu na specyfikę polskich reform. **W odróżnieniu bowiem od reform węgierskich i radzieckiej pierestrojki, nasze reformy mają w dużej mierze charakter oddolny i towarzyszy im znaczne zaangażowanie szerokich mas społecznych.** Należy się liczyć z niezadowoleniem tych, których zdaniem pakiet uzgodnień nie poszedł jeszcze głębiej i nie objął szerszego zakresu spraw, różnych odcieni i orientacji „niecierpliwych", przede wszystkim zaś z oporem tych, którzy będą musieli stracić wiele ze swoich przywilejów, jeśli proces reformowania państwa będzie konsekwentnie wprowadzany w życie. Tzw. „schody" zaczną się wówczas, kiedy ogólnie brzmiące uzgodnienia będą musiały być przełożone na język konkretnych spraw i zaczną być wprowadzane w zwykły, codzienny rytm życia politycznego, społecznego i gospodarczego.

Wiele życiowego doświadczenia i mądrości kryje w sobie wypowiedź prof. Adama Strzembosza w wywiadzie po kolejnym posiedzeniu stolika do spraw reformy sądownictwa i prawa, konstatująca, że „diabeł siedzi w szczegółach". I właśnie w rozwiązaniach dotyczących „szczegółów" decydować się będzie w dużej mierze los reformy.

**Stosunkowo szybko mogą dać znać o sobie problemy, które znalazły się na tzw. „listach rozbieżności".** To prawda, że po tylu latach wzajemnego boczenia się czy jawnej walki doszło do consensusu w wielu sprawach. Są to m. in. sprawy tak fundamentalne dla przyszłości, jak: legalizacja „Solidarności", „Solidarności" Rolników Indywidualnych i Niezależnego Zrzeszenia Studentów, znaczna liberalizacja prawa o stowarzyszeniach, niezależność sędziów, sprawy samorządowe wsi. Jednocześnie w niektórych dziedzinach owe „listy rozbieżności" obejmują wiele znaczących problemów, szczególnie w kwestiach gospodarczych i środków masowego przekazu. **Sprawy nierozstrzygnięte czy czasowo zawieszone mogą zostać przeniesione do podstawowych ogniw życia społecznego i stać się przedmiotem walki politycznej, tym razem nie przy stole.**

**Trzeci problem, który już wkrótce może się ujawnić z całą ostrością, to pewien szczególny brak symetrii „okrągłego stołu" i odczuć społecznych.** Wiele wskazuje na to, że oba te elementy obecnej sytuacji społecznej „pracują" na różnych „częstotliwościach fal". „Okrągły stół", grupujący

**Dokończenie na str. 6—7**

# relacje ZE ŚWIATA

● W WASZYNGTONIE — jak podały agencje zachodnie — rozważana jest możliwość złożenia przez prezydenta Busha, w lecie tego roku, wizyt w Warszawie i Budapeszcie.

● PAŃSTWA EWG zakupiły w 1988 r. w Polsce 8534 tys. ton węgla, czyli o 10 proc. mniej niż w roku poprzednim. Największy spadek nastąpił w imporcie do Francji (minus 58,4 proc.) Hiszpanii (minus 39,4 proc.) oraz Danii (minus 14,5 proc.). Wzrosły natomiast — i to znacznie — zakupy węgla przez państwa Wspólnoty w USA, Kanadzie i Związku Radzieckim.

● MINISTERSTWO ROLNICTWA USA podało, że Związek Radziecki zakupił dalszych 550 tys. ton amerykańskiej kukurydzy, przekraczając tym samym w bieżącym roku handlowym (kończy się 1 lipca) poziom dotychczasowych zakupów. ZSRR zakupił dotychczas m.in. 10,7 mln t. kukurydzy, 4 mln t. pszenicy, 1,4 mln t. mączki sojowej. Łączne zakupy zagraniczne w bieżącym roku wyniosą ok. 37 mln ton zbóż.

● W ZWIĄZKU RADZIECKIM opublikowano dekret, który zezwala na oddawanie w dzierżawę na 50 lat (i dłużej) ziemi, zasobów naturalnych, majątku przedsiębiorstw i wydziałów w zakładach, budynków, maszyn rolniczych, środków transportu. Dekret dopuszcza możliwość dzierżawy kolektywnej i indywidualnej.

● PAŃSTWA EWG zamierzają wprowadzić zasadę, w myśl której wniosek o azyl będzie można składać tylko w jednym kraju, a decyzja odmowna będzie obowiązywała również i w pozostałych państwach wspólnoty.

● „GREENPEACE", międzynarodowa organizacja ekologiczna, opublikowała listę państw, które legalnie, lub też nielegalnie, przyjmują odpady z zagranicy. Znalazły się na niej m.in.: Polska, Węgry, NRD. Władze polskie zdementowały tę informację.

● OBOZY PRACY, więzienia i szpitale odwiedziła delegacja Amnesty Internationale przebywająca z bezprecedensową wizytą w Związku Radzieckim.

● WĘGIERSKI RZĄD zapowiedział rewizję procesów politycznych z lat 1945—62. Dotyczyć to będzie także procesów duchowieństwa, w tym kardynała Jozsefa Mindszentyego.

● NAJBOGATSZĄ KOBIETĄ ŚWIATA jest królowa brytyjska, Elżbieta II, której majątek ocenia się na 5,2 mld funtów.

● 94 ZABITYCH, w tym wiele dzieci. To bilans głupoty, jaka w minioną sobotę królowała na stadionie w Sheffield, gdzie rozgrywano półfinał Pucharu Anglii pomiędzy New Castle i Liverpool. W szóstej minucie meczu doszło do tragedii, gdy siły porządkowe wpuściły ponad trzy tysiące spóźnionych kibiców Liverpoolu. Tłum napierał na już siedzących i w efekcie spychał ich z balkonów widowni, tratował. Przy okazji ujawniono, że na mecz rozprowadzono około cztery tysiące „lewych" biletów. Miejsce tragedii odwiedziła Margaret Thatcher, zapowiadając, że podobne wydarzenia nie mogą się powtórzyć nigdy. (I)

# relacje Z KRAJU

● W CZERWCOWYCH WYBORACH do Sejmu i Senatu weźmie udział blisko 31 proc. spośród respondentów CBOS, około 41 proc. badanych deklarowało swój udział jako prawdopodobny, a 19 proc. nie przewidywało swojego pójścia do urny wyborczej; 9 proc. nie było jeszcze pewnych, ale skłaniali się do absencji.

● BOLESŁAW WIERZBIAŃSKI, publicysta i działacz emigracji politycznej, został mianowany oficjalnym obserwatorem Kongresu Polonii Amerykańskiej w Polsce. Misję swoją rozpoczął w trakcie finału obrad „okrągłego stołu".

● W WIĘZIENIACH I ARESZTACH przebywa obecnie około 67 tys. osób (w 1986 r. — 116 tysięcy). Ponad połowa skazanych to recydywiści, około sześciu procent stanowią młodociani, a trzy procent to kobiety.

Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiedziało humanizację naszej praktyki penitencjarnej.

● ZWIĄZEK WIĘŹNIÓW POLITYCZNYCH OKRESU STALINOWSKIEGO zarejestrowano w Krakowie. Zrzeszać on ma osoby niesłusznie represjonowane w latach 1939—1956 oraz udzielać pomocy byłym więźniom i ich rodzinom.

● LICZBĘ NARKOMANÓW w Polsce szacuje się na około 30 tysięcy. Najwięcej jest ich w woj. legnickim, jeleniogórskim i warszawskim. W 1988 r. wskutek przedawkowania zmarło 106 narkomanów (w 1987 r. — 68 osób).

● PRZECIĘTNIE o 20 proc. zdrożał chleb. Smak pozostał bez zmian.

# relacje Z REGIONU

● Z WYBORCZYMI APELAMI wystąpiły już m.in. Rada Wojewódzka PRON w Lublinie i Komitet Obywatelski „Solidarność" woj. lubelskiego.

W apelu KO „Solidarność" czytamy: „Po raz pierwszy od ponad 40 lat mamy możliwość wyłonienia w wolnych wyborach swoich przedstawicieli: 35 procent posłów i wszystkich senatorów. Choć nie zadowala to naszych aspiracji, uważamy, że należy skorzystać z tej szansy".

Z apelu RW PRON:

„Zróbmy wszystko, aby miejsca przyszłych posłów i senatorów zajęli ludzie najlepsi. Kompetentni. O głębokiej wiedzy. [...] Trafny wybór możliwy jest tylko przy powszechnym w nim udziale mieszkańców miast i wsi".

● PROF. JERZY KŁOCZOWSKI z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego stanął na czele Komitetu Obywatelskiego Województwa Lubelskiego, w jego skład weszli także: T. Mańka i J. Winiarski — wiceprzewodniczący oraz T. Przeciechowski — sekretarz.

Wojewódzkiemu Komitetowi Obywatelskiemu w Zamościu przewodniczy A. Kozaczyński, wiceprzewodniczącymi są M. Jagusiewicz i H. Cisak. Natomiast do reprezentowania Komitetu Obywatelskiego Województwa Chełmskiego upoważniono Bogusława Mikusa.

Oto niektóre cele nowo powołanych Komitetów Obywatelskich: odbudowanie społeczeństwa obywatelskiego, nadzorowanie realizacji umów zawartych przy „okrągłym stole", przygotowanie do wyborów do Sejmu i Senatu strony społeczno-opozycyjnej.

● ROLNICY, zebrani na wiecu w Piaskach Szlacheckich (13 bm.) postanowili zawiesić strajk na czas rozmów z wicepremierem Kazimierzem Olesiakiem. Począwszy od wtorku 18 kwietnia, dostarczają do punktów skupu mleko, żywiec i inne produkty.

Komitet strajkowy rolników regionu środkowo-wschodniego wezwał do wstrzymania sprzedaży alkoholu w sklepach gminnych spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Taki zakaz uchwalili już mieszkańcy Siennicy Różanej w woj. chełmskim. (Z informacji Biura Prasowego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność").

● W ZAKŁADACH METALURGICZNYCH w Lublinie podpisane zostało porozumienie określające sposób podziału kwot przeznaczonych na podwyżki płac. Pogotowie strajkowe trwa nadal, jako że — co warte podkreślenia — komitetowi strajkowemu chodziło również o lepszą organizację pracy i większą gospodarność. Jak do tej pory tylko zapłacono...

● Z „BIAŁYM MAŁŻEŃSTWEM" T. Różewicza, w reżyserii A. Rozhina, Teatr im. J. Osterwy wyjechał do Brześcia. Za tydzień brzeski teatr dramatyczny, sztuką „Dzieci Arbatu" wg A. Rybakowa, zainauguruje tegoroczną edycję Lubelskiej Wiosny Teatralnej. Biletów — praktycznie brak.

● W INSTYTUCIE FILOLOGII ANGIELSKIEJ UMCS gości grupa studentów z St. Paul and St. Mary College z Cheltenham (W. Brytania). Uczestniczą oni w wykładach poświęconych polskiej kulturze, sztuce oraz historii Polski. Jako że goście z W. Brytanii w przyszłości będą pedagogami, teoretycznie i praktycznie poznają nasze szkolnictwo. Przyjmowani są oni przez studentów UMCS w ich rodzinnych domach.

Jesienią ma dojść do rewizyty, w programie której znajdzie się m.in. doroczny festiwal sztuk Szekspira.

● SENSACYJNEGO ZNALEZISKA dokonali archeolodzy z UMCS, pracujący pod kierunkiem dr. Andrzeja Kokowskiego, a wspomagani przez archeologów francuskich: w pobliżu Wieprza (północna część Lubelszczyzny) odkryli pozostałości kilku chat z końca II wieku naszej ery.

● PRZYPADAJĄCE W TYM ROKU 150-lecie fotografii, łódzkie BWA uhonoruje prezentacją dorobku najwybitniejszych współczesnych polskich fotografików. Swoje 6 m kw. powierzchni (tyle wypadło z podzielenia ściany między 23 mistrzów) otrzymał również lublinianin, Łucjan Demidowski. Zdecydował, że w Łodzi pokaże „fotografię mechaniczną" oraz niektóre z prac demonstrowanych niedawno w galerii „Grodzka".

L. Demidowski wystawiał ostatnio w Kladnie (Czechosłowacja) w ramach międzynarodowych warsztatów fotograficznych; zaś najnowsza propozycja, jaką otrzymał, dotyczy zorganizowania ekspozycji w Duszanbe (Tadżycka SRR).

● SĄD WOJEWÓDZKI W LUBLINIE wydał wyrok w sprawie Aliny Klasy z Kraśnika, oskarżonej o dokonanie w stanie silnego wzburzenia zabójstwa swego męża — Mariana.

Wyrok sądu brzmiał: 2 lata pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na okres 5 lat. Tak łagodny wymiar kary (podobnie brzmiał także wniosek prokuratora) spowodowany był tym, iż od kilku lat Alina Klasa maltretowana była przez męża, który ją bił, znieważał i wypędzał z domu. Zestresowana nie zawiadamiała o tym organów ścigania, obawiając się przy tym o los dwojga małych dzieci.

Krytycznego dnia, gdy mąż począł wyjątkowo brutalnie znęcać się nad nią, chwyciła siekierę i dwukrotnie ugodziła go w głowę. Zgon nastąpił natychmiast.

● KONTROLA PROKURATORSKA wykazała, że lubelski oddział Związku Międzywojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Inwalidów bezprawnie ustalił cennik opłat za parkowanie samochodów na parkingach niestrzeżonych.

Powyższe „odkrycie" dotyczy lat... 1984—86. Spółdzielnia nie będzie zwracała bezprawnie zagarniętych pieniędzy, działania prokuratorskie zmierzają li tylko do „uniemożliwienia w przyszłości podobnych praktyk".

Oprac. Zbigniew Miazga

**— PANI konsul, wielu obywateli polskich interesuje się uzyskaniem wizy amerykańskiej. Czy mogłaby pani przedstawić główne zasady określające politykę wizową ambasady USA w Warszawie?**

— Ogólne zasady określające wydawanie wiz turystycznych Polakom są identyczne jak te, które obowiązują na całym świecie. Przepisy regulujące te zasady sformułowane zostały w Ustawie o Imigracji i Narodowości (INA) z 1952 roku. Ubiegający się o wizę musi być autentycznym turystą, udającym się do USA w celach turystycznych, bez intencji podjęcia tam pracy. Musi zatem udowodnić pracownikowi konsulatu, że posiada miejsce stałego pobytu poza USA (niekoniecznie zresztą w kraju rodzinnym), takie wszakże miejsce, którego nie zamierza porzucić i z którym łączą go związki wystarczająco silne, by zmuszały go do opuszczenia Stanów Zjednoczonych po czasowym tam pobycie.

**— Jakie dokumenty konieczne są do ubiegania się o amerykańską wizę i jakie dodatkowe zaświadczenia mogą okazać się pomocne?**

— Przede wszystkim trzeba posiadać paszport umożliwiający podróż do Stanów Zjednoczonych, tj. nie zawierający żadnych w tym względzie ograniczeń. Następnie trzeba być przygotowanym na ewentualność udokumentowania każdej informacji udzielanej pracownikowi konsulatu, a zmierzającej do ustalenia, na ile stabilną sytuację posiada dana osoba we własnym kraju. Jeśli ktoś utrzymuje na przykład, że w swojej firmie pracuje od dziesięciu lat, powinien posiadać dokument potwierdzający ten fakt. Jeśli ktoś wyjeżdża w ramach sześciotygodniowego płatnego urlopu, to powinien dysponować zaświadczeniem z miejsca pracy, że tak jest istotnie. Powinien także udowodnić, że nie tylko będzie w stanie pokryć koszty swego pobytu w USA, ale również i to, że jego rodzina posiada odpowiednie zabezpieczenie na czas jego pobytu za granicą.

**— W wywiadzie dla „Kameny" ambasader USA nadmienił swego czasu o możliwości uzyskania przez Polaków prawa do czasowego zatrudnienia w Stanach Zjednoczonych. Czy mogłaby pani sprecyzować, w jakich okolicznościach zezwolenie takie jest możliwe?**

— Wizy pozwalające na czasowe zatrudnienie w USA, a także wizy pozwalające na stałą pracę, są dostępne dla obywateli wszystkich państw, w tym także dla Polaków. Może to być zezwolenie na pracę związane ze stałą

# LISTY - POLEMIKI

## „DROGA"

*W ósmym numerze „Relacji" z marca 1989 ukazał się artykuł pt. „Droga". Są to wypowiedzi młodej dziewczyny na temat tzw. neokatechumenatu który nazywa „ruchem niezwykłym", czuwa bowiem nad nim p r a w i c a B o g a!*

*Co do tego, że czuwa — panienka nie ma żadnej wątpliwości, bo jak z dalszych wynurzeń wynika, w neokatechumenacie ucina się sobie z Panem Bogiem swobodne pogawędki. Nasza rozmówczyni wyjaśnia to bardzo przekonywająco: „Kościół Katolicki odebrał ludziom zdolność modlitwy, bo podczas Mszy jedni mamroczą coś pod nosem, drudzy bezmyślnie powtarzają »Ojcze nasz« — niezdolni są do rozmowy z Bogiem, nie słyszą Jego odpowiedzi". Neokatechumenat więc słyszy i to wszystko wyjaśnia!*

*Także jeśli chodzi o głoszenie Słowa Bożego, księża katoliccy ponoszą zupełne fiasko, bowiem „homilie płynące z ambon są puste, jałowe, nijakie". Gdy tymczasem katecheci z neokatechumenatu zadziwiają odkrywaniem prawd wręcz niezwykłych — olśniewających kuriozów! Oto głoszą na przykład „że jest Bóg i że istnieje nawrócenie i szczęście" albo że „Chrystus zmartwychwstał i zwyciężył śmierć".*

## WAŻNE DLA WYJEŻDŻAJĄCYCH DO USA!

# ŻYCIE BEZ EMIGRACJI STRACIŁOBY CZĘŚĆ SWOJEGO BLASKU

## Rozmowa z panią Phyllis Villegoureix - Ritaud, konsulem generalnym Ambasady Stanów Zjednoczonych w Warszawie

emigracją bądź z pobytem czasowym. Wizy drugiego rodzaju określane są kryptonimem H. Zdaje się, że są to wizy, które najbardziej interesowałyby Polaków. Z reguły pragną oni bowiem odwiedzić Stany Zjednoczone, popracować tam i powrócić do kraju. W takim przypadku amerykański pracodawca winien wystąpić z ofertą zatrudnienia. Oferta taka musi być poświadczona w odnośnym, stanowym urzędzie pracy. Winna ona zawierać następujące sformułowania: „W związku z faktem, iż wspomnianego stanowiska pracy nie udało nam się obsadzić obywatelem amerykańskim, ani inną osobą dysponującą prawem pobytu i zatrudnienia w USA, potwierdzamy możliwość podjęcia tej pracy przez cudzoziemca. Zwracamy się więc o zezwolenie na jego przyjazd do USA z prawem czasowego zatrudnienia".

Tego rodzaju zezwolenia nie są w żaden sposób limitowane, choć dotyczą z reguły takich prac jak: opieka pielęgniarska, pomoc domowa, sezonowa praca w rolnictwie, szkolenia komputerowe. Każdy, kto uzyska podobną ofertę pracy, może pojechać i zatrudnić się czasowo w Stanach Zjednoczonych.

Wiza H obejmuje także praktykantów. Na przykład wiele hoteli otwiera swoje bazy za granicą i pragnie przeszkolić swój personel w USA. W czasie szkolenia praktykanci ci otrzymują wynagrodzenie, są więc czasowo zatrudnieni.

Praktyki mogą być zresztą rozmaitego rodzaju, m.in. szkolenie absolwentów szkół medycznych w prywatnych instytutach badawczych itp.

**— Ostatnio rozeszła się w Polsce pogłoska, iż władze amerykańskie oferują dwadzieścia tysięcy wiz emigracyjnych dla obywateli różnych krajów. Ile jest w tym prawdy, a także jakie kryteria decydować będą o przyznaniu tych wiz? Mówi się, że już około pięciu tysięcy Polaków wystosowało odpowiednie pisma do Biura Imigracyjnego w Waszyngtonie.**

— Wszystko to prawda. Myślę, że nawiązuje pan do tzw. programu OP 1. Ostatnio rząd Stanów Zjednoczonych ogłosił ograniczoną ofertę emigracji dla dwudziestu tysięcy osób pochodzących z tych krajów, gdzie ilość wiz emigracyjnych wydawanych przez ambasady nie przekracza pięciu tysięcy rocznie. Takich krajów znalazło się około sto sześćdziesiąt, wśród nich także Polska. W roku finansowym 1990 udzieli się takich wiz dziesięć tysięcy, a w roku następnym dalsze dziesięć tysięcy.

Nie wiem, czy istotnie ponad pięć tysięcy Polaków wysłało swoje zgłoszenia, nie mam po prostu na ten temat żadnych informacji. Wiem jedynie, że zainteresowani musieli przygotować swe podania zgodnie z wytycznymi specjalnego Biuletynu Wizowego. [Dane powinny być wypisane na maszynie i musiały zawierać: nazwisko, imiona, datę i miejsce urodzenia, dokładny adres zamieszkania z kodem pocztowym, adres najbliższego konsulatu amerykańskiego (w przypadku Polski: Warszawa, ul. Piękna 12), nazwiska, imiona, daty i miejsca urodzenia współmałżonka oraz dzieci do 21 lat w stanie wolnym, aktualne zdjęcie każdej osoby ubiegającej się o rejestrację, w wymiarach 3,8 cm × 3,8 cm, en face, na jasnym tle, czarno-białe lub kolorowe. Koperta nie mogła być większa niż 24 cm × 11 cm i nie mniejsza niż 15 cm × 9 cm. Na kopercie powinien znajdować się adres: OP-1. PO Box 20199, Washington, DC 20199-9998. Adres zwrotny osoby rejestrującej się musiał być umieszczony w lewym górnym rogu. Wszystkie dane oraz adresy na kopercie musiały być wypisane na maszynie. Aplikacje musiały być wysłane normalną pocztą, nie listem poleconym i nie pocztą dyplomatyczną. Osoby występujące w punkcie pierwszym mogły złożyć tylko jedno podanie. — przyp. W. H.].

Podania te należało wysłać na adres waszyngtoński, a nie składać je w konsulatach czy ambasadach. Rozpatrywane będą jedynie te aplikacje, które wpłynęły do Waszyngtonu przed 31 marca 1989 roku. Następnie wszystkie nazwiska zostaną umieszczone w komputerze, który sam dokona losowania. „Szczęśliwcy" zostaną poinformowani o wyborze, i jeśli nadal będą zainteresowani ofertą, po dostarczeniu podstawowych dokumentów (świadectwo urodzenia, świadectwo ślubu itd.) otrzymają wizy emigracyjne.

**— Jakiś czas temu minister Urban sugerował możliwą tendencję amerykańskich służb konsularnych do „podkupywania" najbardziej zdolnych specjalistów z Polski. Co pan sądzi na temat tej sugestii?**

— O ile mi wiadomo, ani rząd Stanów Zjednoczonych, ani żadna inna placówka w USA nie zamierzały dokonywać „drenażu mózgów" ani z Polski, ani z żadnego innego kraju, z którym posiadają wymianę kulturalną i naukową. Od wielu lat kraj nasz prowadzi taką wymianę nie tylko z Polską, ale również z innymi państwami i wydaje mi się, iż wszystkie strony na takiej wymianie jedynie korzystają.

**— Niektórzy ubiegający się o wizę skarżą się na — jak to ujmują — arbitralne i niesprawiedliwe decyzje amerykańskich konsulatów. Jak mogłaby to pani skomentować?**

— Wszyscy pracownicy konsulatów przeprowadzający rozmowy kwalifikacyjne są instruowani, by każdego z rozmówców traktować w sposób uczciwy, uprzejmy i profesjonalny. Niestety w wielu wypadkach odmowa wizy interpretowana jest właśnie jako niesprawiedliwe traktowanie. Mogę pana zapewnić, że tak nie jest. Te same zasady znajdują zastosowanie w odniesieniu do Polaków, co i do obywateli innych narodowości. Decyzje dotyczące wiz nieemigracyjnych opierają się na kryteriach, o których już mówiłam: aplikanci muszą udowodnić swoje silne związki z krajem, tak by istniała gwarancja ich wyjazdu ze Stanów Zjednoczonych po okresie czasowego tam pobytu. Powód, dla którego jedni otrzymują wizę, a inni nie, mieści się w fakcie, że ci pierwsi związki takie posiadają i potrafili je udowodnić, drugim zaś się to nie udało.

**— Jak przebiega nabór i szkolenie amerykańskich służb konsularnych?**

— Urzędnicy konsulatów są częścią amerykańskiej służby dyplomatycznej. Przeszli oni stosowne egzaminy pisemne i ustne. Rekrutują się z różnych środowisk. Jednym ze źródeł naboru jest program opracowany przez Departament Stanu. W ramach tego programu doświadczeni pracownicy służb dyplomatycznych udają się na różne uniwersytety w całych Stanach, by nawiązać kontakt z przyszłymi absolwentami i skłonić ich do zainteresowania się pracą w dyplomacji. Warunkiem jest przystąpienie do egzaminu pisemnego, stanowiącego pierwszy krok na drodze uzyskania oferty zatrudnienia. Są, rzecz jasna, różne kategorie służby zagranicznej: polityczna, ekonomiczna, administracyjna i wreszcie konsularna. Czy ktoś trafi do działu politycznego, czy konsularnego, zależy od połączenia jego indywidualnych talentów i pragnień, a także od liczby posad konsularnych, jakimi w danym czasie dysponuje Departament Stanu. Szkolenie służb konsularnych odbywa się w Instytucie Służb Zagranicznych w Wirginii i obejmuje kursy na poziomie podstawowym i średnim w zakresie prawa imigracyjnego i konsularnego, przepisów i regulacji wizowych, a także znajomości języka obcego.

**— Jaka jest pani osobista opinia na temat emigracji?**

— Osobiście nie uważam emigracji za szczególny problem. Sądzę, że stanowi ona część życia każdego kraju. Emigracja uczyniła Amerykę narodowościowym tyglem, ale wzbogaciła zarazem Amerykanów o wartości rozmaitych kultur. Myślę, że pomijając pewne problematyczne aspekty emigracji, bez niej skazani bylibyśmy na o wiele nudniejsze życie.

**— Dziękuję pani bardzo za rozmowę.**

Rozmawiał: Wiesław Horabik

---

*Należy więc tylko żałować, że Kościół Katolicki przez dwa tysiące lat na to nie wpadł.*

*Te zarzuty pod adresem Kościoła Kat. są tak niepoważne, że tylko niepoważnie o nich mówić można. Nad całą wypowiedzią zaś należałoby jedynie z politowaniem pokiwać głową, gdyby nie dalsze wynurzenia neokatechumenki, które, choć bardzo skąpe, ukazują jednak pewne mechanizmy działania w „ruchu" i ich skutki, budzące duży niepokój.*

*Przyjrzyjmy się więc temu w neokatechumenacie, co tak zachwyciło 16-letnią panienkę, że bez żalu porzuciła plany angażowania się w sprawy narodowe, społeczne, walkę o „Solidarność" itp.*

*Łatwo odczytamy, że pryncypialnym założeniem „ruchu" jest niewolenie dusz, doprowadzanie adepta do utraty własnego „ja", a nawet własnej godności. Służy temu m.in. zmuszanie do publicznego wywnętrzania się ze swoich grzechów, upadków, myśli, spraw b. intymnych. Entuzjastka „ruchu" widzi, że katechizowani w początku drogi mają jeszcze odruchy buntu, złości, narasta nienawiść do „braci", rodzi się agresywność. Potem człowiek tępieje — staje się własnością wspólnoty, a nawet znajduje upodobanie w tym moralnym ekshibicjonizmie.*

*„To dziwne, ale nasi katecheci zawsze wiedzą, co dzieje się we wspólnocie, choć nikt ich o tym nie informuje. Znają nasze kryzysy i załamania, nasze zwycięstwa i zwątpienia" — mówi dalej przekazująca te relacje i pewno wierzy, że dzieje się to za sprawą Ducha Św. W rzeczywistości wszystko ma zupełnie ziemski wymiar. Stara jak świat poczta szeptana. Katecheci dla swoich celów muszą wiedzieć o „braciach" wszystko.*

*Stosunek do normalnych zachowań społecznych, narodowych, rodzinnych ilustruje poniższe:*

*„Świadomość śmierci popycha człowieka do obłędnej pogoni za idolami". W ich rzędzie wymienia się jednym tchem: karierę, awanse, dobrobyt, miłość rodzicielską i małżeńską, plany w stosunku do dzieci. Ze pośród tych bezwartościowych idoli znajdują się sprawy społeczne i narodowe, nie ulega żadnej wątpliwości. Przez obłędną indoktrynację niszczy się w ludziach normalne uczucia, a doprowadza do psychopatycznych zachowań: „na drodze były takie wypadki, że ojciec, któremu w wypadku zginęła żona i dzieci, klękał wśród tłumu ludzi i dziękował Bogu za d o ś w i a d c z e n i e".*

*Inne nauki, jak informuje młoda wyznawczyni „ruchu", okryte są ścisłą tajemnicą — nie wolno dopuścić do niej młodszych „braci" ani nikogo z zewnątrz. Prawdopodobnie są one z gatunku tych, które zbyt gwałtownie odkryte, przeraziłyby maluczkich, a być może wywołałyby też sprzeciw ogółu. Indoktrynacja musi przebiegać stopniowo, „prawdy" sączone w małych dawkach, bez wyjawiania celów ostatecznych. Czyżby tradycje lóż masońskich?*

*Wszystko klajstruje się niewinnym nonsensem — powrotem do życia pierwszych chrześcijan. I to jest szyld oficjalny.*

*Nonsens tego tkwi w tym, że od tamtych czasów minęło dwa tysiące lat, nie żyjemy w diasporze, i katakumby, ze swoim ukrywaniem się, nie mają racji bytu. Stwarza się więc pozory tej diaspory, we własnej parafii widzi prześladujących pogan, przed którymi kryć się trzeba z nabożeństwami.*

*Nabożeństwa te, jak dowiadujemy się z artykułu, mają osobne nazewnictwo, wyznaniowe ryty, pieśni, b. zmienioną formę. Muzykę organową uznano za ponurą, więc zastąpiono ją skocznymi pieśniami i wesołym klaskaniem przy gitarze. Można i tak się zabawiać. Wierzę, że w naszym dość monotonnym życiu taka zabawa w katakumby urozmaicona śpiewem, klaskaniem, pocałunkami, towarzyską herbatką, jest dla niektórych bardzo pociągająca. Ale czy nie należy zastanowić się nad tym, że rozbijanie Kościoła na mniej lub więcej atrakcyjne „r u c h y" (że użyję tu tego delikatnego wyrażenia) kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo.*

*Wprawdzie Kościół stoi na opoce i jak powiedział Chrystus, „władze piekielne nie zwyciężą go" — niemniej uważam, że w epoce ekumenizmu powinny istnieć raczej tendencje scaleniowe*

*Niewolenie dusz, a także wymienione postawy antyspołeczne i antynarodowe wspólne są wszystkim, powstającym jak grzyby po deszczu „r u c h o m" (wyrażenie, jak wyżej kurtuazyjne).*

*Wspólne też jest tu żerowanie na takich stanach duszy, jak poczucie osamotnienia, zawiedzenie, smutek, rozpacz.*

*Ciepła atmosferka zamkniętych kręgów, owe uściski i ucałowania, milutkie spotkania przy herbatce, mówienie sobie per „ty" — obliczone jest na przyciąganie, rozhartowuje uwagę, usypia zdrowy rozsądek. Atrakcyjność roli z a g r a n i c z n y c h apostołów też robi swoje. Niektórzy więc, jak owa szesnastolatka, zostają fanatycznymi wyznawcami neokatechumenatu, i tych młodych szkoda najbardziej, bo za iluzoryczną elitarność, za snobizm bycia „tymi innymi" wyrzekają się tradycji, wiary, a bezpowrotnie nieraz grzęzną na bagnistym gruncie wynaturzeń i histerii religijnej. I nie jest to droga, jak opiewa tytuł artykułu, a ciemne, złe b e z d r o ż a!*

*Pewno owa młoda neokatechumenka, udzielając wywiadu, nie przypuszczała nawet, ile tajemnic „ruchu" zdradziła i jak wiele powiedziała o nim ku przestrodze innym.*

*Z artykułem zetknęłam się w okresie świątecznym, w dużym gronie osób różnego wieku, a że temat wszystkich zbulwersował, wysunięto wniosek, abym w imieniu wielu na artykuł odpowiedziała. Robiąc to, mam głęboką nadzieję, że redakcja pisma, poruszającego nadzwyczaj ciekawe tematy, i naszą odpowiedź na artykuł wydrukuje.*

*Pozostaję z poważaniem*

**Róża Jundziłłowa**

(adres do wiadomości redakcji)

# DZIEŃ SOKOŁA

## Ewa Czerwińska

DZIADEK od tygodnia już nie śpi po nocach, bo się denerwuje. Córka dziadka, Kazia, też przeżywa: — Pani, co ja z nim mam?! Taka uroczystość, a on mi gotów paść. Co pani myśli?! To jest wiek. Osiemdziesiąt osiem lat. — Córka dziadka jest wyraźnie niezadowolona z mojej wizyty. — Tatu! (to do dziadka). Palisz i palisz, a to ci szkodzi. — Dziadek udaje, że nie słyszy i zaciąga się „opalem". Mówi, że papieros pomaga mu na nerwy. Za parę godzin pojedzie „fiatem" do gminy na wielką uroczystość. Będą go odznaczać. „Medalem Rodła". Kupę ludzi zjedzie się, żeby to zobaczyć, więc ma dziadek tremę.

Rodzina już zjechała. Nawet wnuk dziadka, ten kapitan wojska polskiego, aż z Bydgoszczy. — Nie męczyć go... — decyduje wnuk, a reszta rodziny mu przytakuje. Mówię, że nie zmęczę, ale kto mi uwierzy?... Dziadek uwierzył. No to jak on po mojej stronie, to ja udaję, że nie słyszę i robię swoje. I mamy te dwie godziny tylko dla siebie. Stanisław Mizerny, lat 88, mieszkaniec bialskopodlaskiej wsi Wiechowicze, znów będzie bohaterem.

Biedny ten kraj, który ludzi za chlebem musi wypędzać. Biedny był Józef Mizerny, bo — choć wziął pannę na calutkich dwóch morgach — to przecież gospodarka śmiechu warta była. A i syn Stanisław przyszedł na świat w dziewięćset pierwszym. Więc postanowił Józef innej niż wioska w Poznańskiem ojczyzny szukać. Ludziska stamtąd za chlebem szli do kopalń Zagłębia Ruhry. Józef postanowił tam właśnie roboty poszukać. Stanisław dorastał przy obcych — przy pasionce, a jak podrósł nieco, to przy koniach i pługu, u gospodarza, co się nazywał Wycisk. Szkołę przeszedł twardą: pięć, sześć krów za rogi i na pastwisko, a elementarz to już w zębach...

W osiemnastym roku czas przyszedł na Stanisława. Podziękował gospodarzowi i zabrał się z ojcem w świat, do Westfalii. W kopalni przyuczał się do zawodu górnika. Niemcy płacili dobrze, więc Mizernej się ulżyło. — Ojczyzna jest moją, matką, a o matce nie mówi się źle — bije się w piersi Mizerny na przypomnienie tych przymusowych robót, na obczyźnie, z których przecież był chleb.

Chleb to nie wszystko. Polskość to coś więcej. Półtoramilionowy Związek Polaków w Niemczech, który powstał w 1922 roku, podjął trud walki o polską tożsamość. To był naprawdę trud. Wiele o nim w mądrych książkach. Stanisław Mizerny o tym samym, ale po swojemu. — Zna to pani? — pyta. — „Za ten pacierz, w polskiej mowie /Co nam dali go ojcowie /I co nas uczyły matki /Niemiec męczy polskie dziatki". Każdy dzieciak to znał.

Mizernemu sprzykrzyła się obczyzna, chciał do kraju. Akurat kolega od dziewczyny Niemki uciekał, więc pomyśleli, że dobrze będzie do swoich wrócić. Wsiedli w pociąg i dotarli do Zbąszyna. A tu Polacy nie wpuszczają. Wizy Mizerny nie ma. — Polska za oknem, a tu człowiek wysiąść z pociągu nie może — przeżywa na nowo Mizerny. — No to ja mówię, że nazad nie pojadę, ale zmusili. Wróciłem się do Niemiec, do jednej wioski, co się nazywa Dąbrówka, i myślę tak: urządzę się jakoś, za żywność porobię, a później zwieję...

Dąbrówka — piękna wioska. Spodobała się Mizernemu. Prawie sami Polacy w niej mieszkali, tylko garstka niemieckich osiedleńców. Ale ta Dąbrówka była za kordonem granicznym, w niemieckiej ziemi, która chciała wessać i polski obyczaj, i polską mowę. Mizerny postanowił, że zgermanizować się nie da. Rozejrzał się: młodzieży dużo. To co? Sport postanowił zorganizować. Klub Sportowy „Sokół". Porozmawiał z chłopakami, zapalili się. Odtąd ćwiczyli już w stodołach, na polach — boksowanie, piłkę nożną, ciężary. Do samego Berlina pisał Mizerny, żeby móc ćwiczyć lekkoatletykę. Berlin pozwolił na strzelanie, ale... z kijów. Wiosek z tego był taki, że lekkoatletyka to już polityka. Polityka była jeszcze w tym, że Polakom zachciało się organizacji, a organizacja to już przecież jakaś przynależność, jakaś tożsamość.

Wszycy chłopcy z Dąbrówki do „Sokoła" się zapisali, a to się Niemcom nie bardzo podobało. Także i to, że na zawodach w Berlinie, Złoczowie, Zakrzewie drużyna Mizernego popisywała się dużymi umiejętnościami.

Dąbrówka, ta enklawa polskości za kordonem, śpiewała „Jeszcze Polska nie zginęła", a młodzi z „Sokoła" pytali sami siebie: jak w tej Polsce nam będzie? Bo wierzyli, że na tę ziemię, gdzie prochy wojów Chrobrego, Polska po nich przyjdzie. Umieli czekać. Przeczekali Republikę Weimarską i Bismarcka, to i z NSDAP się uda.

Mizerny był raptus. Z tej niecierpliwości każdego wroga Polski bił po mordzie. Raz walnął jednego Niemca z gestapo, któremu „Sokół" się nie podobał, i Mizerny — buntownik z Dąbrówki. Mizerny był chłop jak dąb, metr dziewięćdziesiąt, gestapowiec — chuchro. Mizerny dał Niemcowi w szczękę, za polską świnię i w pierwszej rundzie było jeden — zero. Ale potem była druga runda — już w więzieniu. Zanosiło się na dłuższą odsiadkę, ale Dąbrówka solidarnie złożyła się i Mizernego z więzienia wykupiła. — Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz... — recytuje mi Stanisław Mizerny na potwierdzenie tamtego gniewu.

W dwudziestym dziewiątym Mizerny przeszedł granicę. Dlatego, że chciał do Macierzy, i dlatego jeszcze, że szukał żony. — Jeden powstaniec mi mówi: jedź, Stasiu, na wschód, tam dużo dziewczyn — opowiada Mizerny. — No to jedziemy. Zajechaliśmy do Wiecho-

### PRAWDA JEST SZARA, ZGRZEBNA PO PARTYZANCKU I PO CHŁOPSKU

# SŁAWA I CHWAŁA

## Stanisław Harasimiuk

KUSI, zwłaszcza uczestników historii, silniej i bardziej przewrotnie niż Mefisto mądrego przecież Fausta. Każdy, szczególnie po latach, z dystansu, widzi siebie w samym środku zdarzeń, jako ich podmiot i sprawcę. Jawią się w jego wspomnieniach obrazki starannie ufryzowane, mocno podbarwione, miłe oku. Czas wprowadza retusze, zaciera kanty, wymazuje szpetotę i ohydę, zastępuje zło dobrem, mrok jasnością.

W rezultacie powstają potworki artystyczne w rodzaju pancernych psów, w których wojaczka to fajna, nawet wspaniała przygoda, a zabijanie to chleb z masłem. Również dla małolatów.

O ile z „artystami" płodzącymi „dzieła" w rodzaju tasiemców o niezwyciężonym Klossie czy o Szariku mądrzejszym od sztabu generalnego III Rzeszy sprawa jest prosta, gdyż w gruncie rzeczy chodzi o kompleksy autorów i ich niemoc twórczą, o tyle z upiększaczami historii, zdarzeń autentycznych — jest poważny problem. Nie chodzi przy tym o samą tzw. prawdę i wierność przekazu, idzie o coś znacznie więcej — fałszowanie istoty wojny, upiększanie tej najstraszliwszej tragedii, z którą ludzkość od zarania swych dziejów nie może się uporać, pozostawić w lamusie zamkniętej przeszłości.

Opisywanie wojny kusi. Pod byle jakim piórem mogą wszak powstać obrazy zapierające dech w piersiach. Nic więc dziwnego, że w ciągu bez mała półwiecza od czasu II wojny powstały tysiące utworów literackich i setki tysięcy wspomnień. Takie dzieła jak „Żywi i martwi" Mailera, czy — mimo naiwnych uproszczeń — „Los człowieka" Szołochowa, dadzą się policzyć na palcach jednej ręki. Reszta to poślad, bądź wręcz bezwartościowy, a nawet gorzej, bo szkodliwy chłam.

Pisanie o wojnie stało się potrzebą wielu jej uczestników. Podczas zmagań w okopach, albo na partyzanckich szlakach byli kimś, od ich rozkazu czy wręcz pociągnięcia za spust zależało życie konkretnego człowieka lub wielu ludzi. Posiadali władzę. Chodzili w glorii bohaterów. Byli młodzi. Dziś są emerytami starego kombatanckiego portfela, ich zapadłe piersi w dni uroczyste i rocznice zdobią medale, ordery i odznaczenia. I to miałoby być wszystko?

Nie, nikt nie godzi się na przemijanie.

Sława i chwała kusi. Nie mniej zapewne niż władza.

Sława i chwała jest wymagająca. Szczęśliwcy nią opromienieni muszą być piękni, zdarzenia, w których uczestniczą, wspaniałe, a oni sami jeszcze wspanialsi.

Jaka jest natomiast tzw. szara prawda? Jest właśnie szara, brudna, okopowa, zgrzebna po partyzancku i po chłopsku. Pełno w niej wojennego strachu i zrodzonego zeń okrucieństwa. Przedstawiani na rozmaitych kartach i filmowych obrazach, herosi w rzeczywistości byli zwyczajnymi, znękanymi, śmiertelnie wystraszonymi ludźmi, którzy wykonywali czyny bohaterskie, ale i okrutne: wspaniałe, ale i podłe; bywali w porywach walki nadzwyczajni, ale i tchórzliwi, nieraz do tego stopnia, że po bitwie dyskretnie w nadrzecznych łozach długo i starannie prali zafajdane gacie. W rzeczywistości byli po prostu normalni, ludzcy.

Dla przeprowadzenia niepodważalnego dowodu rzeczowego na wszystko, co powyżej, posłużę się jednym z dziesiątków konkretnych przykładów.

Oto dość banalne w partyzancko-okupacyjnej rzeczywistości, zdarzenie, które miało miejsce w samo południe 24 marca 1943 roku we wsi Chlewiska, w zasadzie stanowiącej przedmieście Lubartowa. Otóż tego dnia z partyzanckiego wyroku zlikwidowanych zostało zamiast dwu — czterech „łapaczy" Arbeitsamtu, jeden Niemiec i trzech Polaków, którzy jakoby szczególnie gorliwie zajmowali się wysyłaniem polskiej siły roboczej do III Rzeszy. Wprawdzie wyrok wymieniał tylko dwu skazanych, owego Niemca i jednego Polaka, ale przy okazji, i na skutek zbiegu okoliczności, trupem padli i dwaj pozostali, w tym jeden, który dopiero miał rozpocząć karierę „łapacza". No, cóż — bywa. Wojna.

Rzecz w tym, że do owego — nie ukrywajmy, trochę niejednoznacznego — zdarzenia przyznało się potem wielu rzekomych wykonawców. Pierwszy był „Gwardzista", który już w numerze świątecznym, gdyż z 1 maja 1943 roku donosił tryumfalnie: „24.III. w Chlewiskach (Lubelskie) g w a r d z i ś c i zabili 4 łapaczy Arbeitsamtu, którzy byli postrachem całego powiatu. Ludość przyjęła wiadomość tę z niesłychanym entuzjazmem".

Rzecz w tym, że GL nie miała z zamachem w Chlewiskach najmniejszego, jakiegokolwiek, choćby tylko pośredniego związku. Informacja podana w „Gwardziście" stanowiła klasyczną mistyfikację. Konia kuli, żaba nogę wystawiła.

Drugim amatorem sławy i chwały — po latach — okazał się dowódca lubartowskiego AK, który podał, że wykonawcą akcji w Chlewiskach był patrol dowodzony przez st. sierż. AK, Józefa Szpanowskiego („Jeża"). Niestety, Szpanowski — „Jeż" poległ w czasie okupacji, a do dziś nie znalazł się ani jeden uczestnik patrolu, który rzekomo miał wykonać wyrok w Chlewiskach, a który mógłby zaświadczyć o prawdziwym autorstwie.

Na placu boju pozostał więc trzeci pretendent do sławy i chwały, mianowicie oddział specjalny BCh z powiatu lubartowskiego, którym dowodził podczas akcji w Chlewiskach Stanisław Sternik („Ster"). Faktu tego dowodzą relacje żołnierzy BCh, złożone w archiwach NK ZSL jeszcze w latach pięćdziesiątych (rewelacje byłego dowódcy AK w Lubartowie są o kilka lat późniejsze i całkowicie odosobnione, jednostkowe, niepublikowane).

Na bechowskie autorstwo akcji w Chlewiskach wskazuje również to, że do dziś żyją i gotowi są pod przysięgą potwierdzić swoje zeznania dwaj ludzie bezpośrednio związani z zamachem, w tym jeden bezpośredni jego wykonawca, o którym za chwilę.

Otóż pierwszą wiarygodną osobą, potwierdzającą wykonanie wyroku przez o.s. BCh, jest obecny pułkownik rezerwy, a ówczesny dowódca oddziałów specjalnych BCh na powiat lubartowski, Franciszek Kusyk („Grot"), który twierdzi, że osobiście opracował plan zamachu, osobiście wydał odpowiednie rozkazy podległemu oddziałowi Stanisława Sternika („Stera") i osobiście potem przejmował meldunek o wykonaniu tego rozkazu.

I tu właśnie zaczyna się najbardziej interesujący moment całej tej, dawno przecież przebrzmiałej, sprawy.

W swojej książce wspomnieniowej dowódca oddziałów specjalnych barwnie i z przejęciem opisuje całą akcję, a zwłaszcza okres przygotowań do niej. Z relacji tej wynika, że wszystko odbyło się niemal jak na kartach „Ogniem i mieczem" z udziałem małego rycerza, Zagłoby, a nawet i Kmicica. Dowódca, niby imć pan Onufry, obmyśla fortele, stwarza pozory, stosuje przebieranki (partyzanci Sternika mają udawać handlarzy tytoniu, spekulantów z grubymi portfelami, co ma stanowić przynętę dla — a jakże! — mocno trunkowych „łapaczy").

Dość, że misterna intryga udaje się w stu procentach i następuje sama akcja, godna obrazu z „Siedmiu wspaniałych", choć wspaniałych (w relacji dowódcy o.s.) było tylko czterech, czyli przypadał jeden na jednego. Chłopcy „Stera", a jakże, odczytali wyrok na dwu łapaczy, ale wynikły komplikacje, ów Niemiec dobył pistoletu i zaczęła się strzelanina, w której wyniku Niemiec i trzech jego przybocznych kolaborantów padło trupem. Ale nie od razu, bo Niemiec o polskim nazwisku Jabłonowski, mimo dwu, z bezpośredniej bliskości wpakowanych w czaszkę kul, porwał się do ucieczki, taki był, bestia, zdrowy i trudny do zabicia.

Kilkustronicowa relacja napisana jest z pasją i przekonaniem niemal bezpośredniego uczestnika; autor „widzi" i „przeżywa" na nowo to samo co niegdyś... T[illegible] tylko, że są to wątki i obrazy p[illegible]ielane już w setkach tysięcy egzemplarzy w literaturze, filmach, wspomnieniach. I zaledwie bliskie prawdy, choć odległe od jej istoty.

Na szczęście, żyje do dziś bezpośredni uczestnik południowego zamachu w Chlewiskach w dniu 24 marca 1943 roku, Jan Sztorc („Junak"), obecnie rolnik zamieszkały w Dysie w gminie Niemce, podówczas mieszkaniec Glinnika w gminie Abramów. Pan Sztorc potwierdza, iż rzeczywiście na akcję mieli pójść w czwórkę i mieli wykonać wyrok na dwu „łapaczach", ale od początku wszystko wzięło się i pokręciło. Przede wszystkim czwarty z zamachowców z powodu silnego rozwolnienia, którego dostał przed ak-

wicz. Patrzymy: idą dwie dziewczyny. Młodsza i starsza. Ja z początku do tej młodszej skłaniam się, ale z bliska widzę, że twarz ma siną, spaloną jakąś. Okazało się, że Kozacy na nią spirytus w gorzelni wylali. No to później spojrzałem na starszą. Lepsza będzie ta — pomyślałem. Antonina miała na imię.

Rozpoczęli gospodarowanie. Mizerny podtrzymywał sportową krzepę przy cepie i pługu. A dla zabawy podniósł sobie od czasu do czasu źrebaka albo wyciągnął zębami gwoździa z trzycalowego bala. W trzydziestym dziewiątym roku skończyły się rozrywki, zaczęła sę wojna. Śmierć chodziła za ludźmi krok w krok, za Mizernym szczególnie. Za tego „Sokoła".

— To było chyba w czterdziestym roku — przypomina Mizerny. — Kosiłem jęczmień w samo południe, a tu przyjeżdża granatowy na rowerze z wezwaniem na gestapo. No to pojechałem. A oni rower do depozytu, a mnie do celi. Siedziałem i siedziałem, razem ze mną siedzieli sędzia i prokurator z Białej, a Niemcy ani razu mnie na przesłuchanie nie wezwali. W końcu wziąłem się na sposób i napisałem list do żony po niemiecku, żeby jakoś zwrócić na siebie uwagę. Myślałem: zainteresują się wreszcie i wypuszczą. Zaraz po tym liście wołają mnie na przesłuchanie. Wchodzę i do oficera mówię: „Heil Hitler". To on spojrzał i czuję, że nie może się połapać. Myślał może, że ja szpieg. A ja mu w niemieckiej mowie wyłuszczyłem, że jestem Polakiem, że mieszkałem w Dąbrówce... I ta niemiecka mowa mnie wtedy obroniła... Za jakiś czas wypuścili mnie. Ale i tak sobie odbiłem: współpracowałem z partyzantką.

— No, czas, dziadek, ubierać się — przerywa nam córka Kazia, strzepując niewidzialne pyłki z wyszykowanego do drogi garnituru. I widzisz, przyjeżdżają do ciebie różni z prasy, a porządnej drogi do chałupy jak nie było, tak nie ma. Myśli pani, że to żarty? Pogotowie do dziadka nie ma jak dojechać...

— Ojczyzna jest moją matką, a o matce nie mówi się źle... — powtarza raz jeszcze Mizerny, który ma dziś przecież wielkie święto i nie chce sobie psuć humoru.

— Wszyscy się interesują dziadkiem, ale jak przyszło co do czego, to rentę musiałam sama załatwiać... — córka Kazia nie daje się wybić z pragmatycznej ścieżki. Przerywa jednak, bo czas nagli i garnitur trzeba wkładać.

Uroczystość była piękna. Przyjechali goście z Dąbrówki, z tamtejszego LZS, który kontynuuje tradycje „Sokoła", przedstawiciele Zarządu Głównego Stowarzyszenia „Wisła — Odra", Zarządu Wojewódzkiego tego Stowarzyszenia, przybyły władze gminy Konstantynów z uroczą panią naczelnik. Stanisława Mizernego udekorowano „Medalem Rodła", a był to 4577 medal nadany w Polsce dla tych, którzy, będąc nie u siebie, byli sobą. Młodzież wystąpiła z programem artystycznym, który niejednemu wycisnął łzy z oczu. A na hojnym podlaskim poczęstunku były już tylko wesołe toasty, w których prześcigali się LZS ze Stowarzyszeniem. Także i urodzinowe, bo właśnie tego dnia Stanisław Mizerny rozpoczął osiemdziesiąty ósmy rok życia. Tylko niektórzy mieszkańcy Konstantynowa, co przyszli pod dom kultury na gapia, dziwili się zbiegowisku. Nikt do tej pory nie wiedział, że z dziadka Mizernego taki ważny ktoś.

---

cją, chyba z nerwów, nie nadawał się do niczego. Poszli więc we trzech, to znaczy ich dowódca Stanisław Sternik („Ster"), Tadek Szmul pseudo „Żerowiec" no i on sam, „Junak" czyli Jan Sztorc.

Poszli do Lubartowa zwyczajnie. Mieli pistolety pod kapotami. No i liczyli że trafią gdzieś tego Niemca Jabłonowskiego i drugiego, Polaka, o którym lepiej z nazwiska nie mówić, bo rodzina do dziś żyje w okolicy. No i udało się. Zobaczyli ich koło sklepu. Ale nie dwu, tylko czterech. Trudno, postanowili mimo wszystko śledzić z daleka tę czwórkę arbeitsamtowych naganiaczy. Szło całkiem dobrze. Tamci byli butni, niczego nie zauważyli. Przecież to był dopiero początek 43. Niemcy uważali jeszcze swoją Rzeszę za Tysiącletnią.

Po jakimś czasie okazało się, że Niemiec Jabłonowski z kolaborantami idzie w stronę Chlewisk.

— Tam zauważyliśmy, że przewoźnik przeprawił ich w łódce przez Wieprz. No to my do chłopa, żeby nas też przewiózł przez rzekę. I nas przewiózł. Wody się trochę nabrało, ale przepłynęliśmy. I wtedy oni zobaczyli nas i chyba się połapali, że ich śledzimy, i się rozbiegli na dwie grupy, po dwu. My też się rozdzieliliśmy. Staszek i Tadek za Niemcem, ja za tymi dwoma, co uciekali w pola. Jednego dogoniłem i zastrzeliłem.

„Ster" pewno nie wiedział, co się dzieje, bo po moim strzale ruszył mi na pomoc. Ale ja już wracałem. A „Żerowiec" dobrze przymierzył do drugiego uciekającego polami i położył go trupem. „Ster" załatwił trzeciego „łapacza". Tak że został żywy tylko ten Niemiec Jabłonowski. On chyłkiem krył się między zabudowaniami i próbował uciekać. Ale myśmy przecięli mu drogę, osaczyli go, ja z „Żerowcem". No i był taki moment, że Tadzio, znaczy „Żerowiec", stanął oko w oko z tym Niemcem. Tadzio miał w lewej ręce parabellum, a w prawej visa. Niestety, ciach za spust jednego, ciach drugiego — i nic. Dwa niewypały. Tak się trafiło, bo amunicję mielimy starą, to zawodziła. Była pewno jeszcze z kampanii wrześniowej.

Jabłonowski chyba się od razu połapał z tym niewypałami, bo skoczył na „Żerowca" i go powalił pod siebie, bo był rosły, mocny i wypasiony. Ale Tadek rąbnął szwaba kolbą visa w łeb i go na moment zamroczyło, dość, że Tadzio się wydobył i wlazł teraz na niego, na wierzch. Ja nie czekałem dalej, tylko z tych nerwów dopadłem Jabłonowskiego, przyłożyłem lufę parabellum do jego głowy i dwa razy pociągnąłem za cyngiel. Padł na miejscu.

— Podobno jeszcze porwał się do ucieczki...

— E, gdzie tam, z rozwalonym łbem?

— Rozumiem. A co było dalej?

— Nic. Zabraliśmy papiery zabitych i uciekliśmy na zarekwirowanych od chłopów koniach na Wolę Sernicką, do lasów.

— Kto odczytał skazanym wyrok?

— Nikt. Nie było jak.

— Pamięta pan, czy oni byli uzbrojeni?

— Polacy na pewno nie. Ci łapacze.

— A Jabłonowski? Dlaczego zamiast użyć własnej broni, rzucił się do walki wręcz na uzbrojonego w dwa pistolety „Żerowca", dlaczego, mimo wielominutowego pościgu, nie dobył własnego pistoletu.

— Może miał nienabity...

— W czasie wojny? Na okupowanym terytorium partyzantów?

Pytanie zawisło bez odpowiedzi.

Proszę mnie dobrze rozumieć. Nie mam pojęcia, jak zachowałbym się w podobnych okolicznościach sam; los szczęśliwie uchronił mnie od podobnych doświadczeń. Ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że opiewana jako bohaterska, opisywana w książkach i gazetach akcja — w istocie swej słuszna i sprawiedliwa — bardziej przypomina polowanie na zająca, niż wykonanie wyroku czy akcję odwetową.

Nie chodzi o to, by pomniejszać znaczenie czy rolę ruchu oporu albo poszczególnych bojowników. Chodzi o świadectwo prawdy i odbrązowienie wojny. Ani w okopach, ani na partyzanckich ścieżkach nie była ona taką śliczną malowanką. W jakichkolwiek okopach i na jakichkolwiek szlakach. Wojna to kondensat zła i okazja do spotęgowania ludzkich możliwości — w każdym kierunku. To tylko w filmach i na kartach z heroicznymi opisami uczestnicy zabijania mają czas na skrupuły, moralne dywagacje. W rzeczywistości na wojnie chodzi o zabijanie czyste, jako takie. Bo jeżeli ty nie zabijesz pierwszy, to sam zostaniesz zabity. Równanie jest matematycznie proste. I przeraźliwie beznadziejne.

Z prawdziwą ulgą myślę: jak to dobrze, że my i nasze dzieci, póki co, nie mamy żadnego powodu sięgać po sławę i chwałę. Ale czy to nasza zasługa?

# LISTY-POLEMIKI

## „STALIN, BIERUT I »CZARCIA ŁAPA«"

*Dobrze, że udzielacie głosu wszystkim. Jeśli ktoś sądzi, że Węgrzy — w imię czci dla zabytków — winni odbudować pomnik Stalina, niech to głosi, dopóki się podpisuje. Niech jednak strzeże się bredni, bo brednie, nawet podpisane, szkodzą czytelnikom i szkodzą pismu, które autorowi bredni udziela swych łam.*

*Colosseum rzymskie, prócz ludowej nazwy, nawiązującej do OBALONEGO pomnika Nerona, nie ma nic wspólnego z Neronem. Wzniósł je czwarty po Neronie cesarz, Titus Flavius Vespasianus, i stąd zwało się zawsze Amphitheatrum Flavianum. Burzyć je zaczął dopiero Renesans — z uwagi na budulec pod ręką, znakomity kamień z Tivoli, po włosku: travertinę.*

*Pomniki Nerona natomiast burzono zaraz po jego śmierci, tak jak burzono bezlitośnie wszystkie pomniki Domicjana, chociaż był synem Wespazjana, rodzonym bratem najlepszego z cesarzy, Tytusa. Tak Nerona bowiem, jak Domicjana za łotrostwa Rzym skazał na najcięższy wymiar kary: bezpamięć, po łacinie: damnatio memoriae. Usuwał ich sprzed oczu i ofiar, i zwolenników — bo łotra nad łotrami, Nerona, wielu kochało i przez dziesiątki lat czekało na jego powrót; dosłownie na powrót, bo wielu nie wierzyło, że umarł.*

**Edward Zwolski**
Lublin

✦

*Pozostając wierny złożonym publicznie deklaracjom, odnoszącym się do autentycznego zainteresowania „Relacjami" — potwierdzonymi zresztą dzięki uprzejmości redakcji w nr. 6 tygodnika — jestem stałym jego czytelnikiem.*

*Pismo bowiem posiada swój styl — a śmiałość prezentowanych w nim poglądów oraz wyjątkowa trafność ocen podejmowanej problematyki stanowi na pewno ewenement w dotychczasowej praktyce publicystycznej w naszym regionie (i nie tylko!).*

*Dlatego też z pewnym zdziwieniem przyjąłem enuncjacje pana Henryka Borowskiego („Relacje" nr 11), w skromnym wprawdzie ich wymiarze, gdyż dotyczącym refleksji autora, opartych na wrażeniach z jego pobytu w Rzymie. Nie zamierzając polemizować z poglądami autora w tak głośnych obecnie rozważaniach dotyczących Stalina i Bieruta — gdyż te w znacznej mierze podzielam — nie sposób jednak zgodzić się z dywagacjami, odnoszącymi się do porównań obu tych postaci z osobą Nerona. I nie chodzi tu bynajmniej o to, kto posiadł większe „zasługi" i jakiej natury, lecz o istotne nieścisłości historyczne.*

*Pan Borowski, opierając się — jak to pisze w swym artykule polemicznym pt. „Stalin, Bierut i »Czarcia Łapa«" — na informacjach przewodnika wycieczki po Rzymie, twierdzi, że jeden z najbardziej okazałych akcentów świetności Wiecznego Miasta w starożytności — Colosseum — został wzniesiony za panowania cesarza Nerona.*

*Był może przewodnik — a w ślad za nim i autor cytowanej publikacji — połączyli dwa odrębne fakty. Otóż bowiem niektóre — a powszechnie dostępne — przewodniki po Rzymie informują, że swą nazwę Colosseum zawdzięcza nie tylko swym rozmiarom, lecz także i temu, iż w jego pobliżu stał niegdyś olbrzymi posąg Nerona (do dziś znajduje się tam kwadrat przy Via dei Fori Imperiali — byłem i widziałem), ale sam budynek Amfiteatro Flavio (czyli Colosseum) wzniesiono w latach 70—80 n.e. za panowania cesarzy z dynastii Flawiuszów: Wespazjana i jego syna Tytusa. W momencie rozpoczęcia budowy cesarz Neron już nie żył, gdyż lata jego panowania przypadały na okres pomiędzy 54 a 68 r. n.e.*

*Nie jest również prawdą, że budowla posiada kształt okrągły — jest ona bowiem owalna. Obwód jej wynosi 527 m, zaś średnica dłuższego boku 188 m, wobec 156 m ściany krótszej. Świadomie rezygnuję z przytaczania innych — powszechnie — jak sądzę — znanych szczegółów architektonicznego wyrazu tej budowli.*

*Wypada jednak na zakończenie dodać, iż dewastację Colosseum rozpoczęto w epoce średniowiecznej, kiedy to z budowli, będącej wówczas twierdzą rodu Frangipani, czerpano budulec (trawertyn, cegłę) do wznoszenia pałaców ówczesnego rzymskiego patrycjatu. M. in. z fragmentów Colosseum wybudowano np. Palazzo Venezia i dopiero interwencja papieża Benedykta XIV w XVIII wieku zahamowała proces barbarzyńskiej dewastacji amfiteatru.*

*Licząc na zamieszczenie w „Relacjach" niniejszego sprostowania pozostaję z szacunkiem*

**Stanisław Lipiński**
Rejowiec Fabryczny

✦

*Jestem studentem historii UMCS. Chciałem ustosunkować się do artykułu H. Borowskiego pt. „Stalin, Bierut i »Czarcia Łapa«". Naprawdę to, co napisał pan Borowski, jest godne pożałowania. Pan B. pisze, że polityka Stalina była popierana przez klasę robotniczą. Czy aby na pewno? Miałem okazję przebywać podczas wakacji w ZSRR. Starsi ludzie, kiedy wspominają tamte czasy, mówią: „Tak, tak, za Stalina było nie najgorzej, bo można było kupić wódkę". Panie B. niech sobie pan przypomni, jak postąpił Stalin z ukraińskimi chłopami, którzy nie chcieli iść do kołchozów. Kto wydał w ręce Hitlera niemieckich komunistów, którzy szukali schronienia w ZSRR (było to po układzie Ribbentrop — Mołotow). Można by mnożyć przykłady, spierać się o liczbę pomordowanych.*

*Próbuje pan bronić Bieruta. Robi to pan w sposób śmieszny. Każdy ma prawo do wywieszania w swoich mieszkaniach portretów i sądzę, że u pana wisi gdzieś w godnym miejscu portret pierwszego powojennego prezydenta. Jeśli zaś chodzi o stawianie pomników w miejscach publicznych, to już nie jest to samo i niech, proszę pana, nie powołuje się pan na przykład Colosseum, bo jest to zabytek historyczny, natomiast jeśli chodzi o pomnik tow. Bieruta, to nie przedstawia on dla mnie wartości historycznej.*

*Pisze pan, że to, iż Bierut był pierwszym prezydentem, usprawiedliwia nadanie jego imienia ulicy lub fabryce. Może chciałby pan powrócić do byłej nazwy Katowic — Stalinogród. Może w pana mniemaniu w Warszawie równie dobrze mógłby istnieć plac o nazwie Adolf Hitler Platz.*

*Nikt dokładnie nie wie, ile można zapisać ofiar pomordowanych żołnierzy AK na konto tow. Bieruta. Wiadome są fakty, że nie starał się interweniować w procesie 16, dość często nie korzystał z prawa łaski wobec zasłużonych oficerów AK. To za jego czasów tacy ludzie jak Skalski dostawali wyroki śmierci.*

*Pisze pan, że za jego czasów Lublin potroił swój obszar. Myślę, że i bez niego, a przy pomocy ludzi, gorących patriotów, Lublin mógłby być naprawdę pięknym miastem (bo jak na razie, to na taki nie wygląda).*

*Pytam pana, kto wpoił Polakom donosicielstwo, łapówkarstwo, kto uczynił z nas społeczestwo egoistów?*

*Jestem młodym człowiekiem, 90 proc. moich przyjaciół, jeśli miałoby możliwość, wyjechałoby na Zachód. Pytam pana, dlaczego nie mogę zrealizować jako Polak swoich planów i marzeń w mojej ojczyźnie?*

*Czy zawsze będziemy usprawiedliwiali ludzi pokroju Bieruta tylko dlatego, że był mieszkańcem Lublina i za to możemy nazwać którąś z ulic naszego miasta jego imieniem. Ulica Bieruta — to tak sympatycznie brzmi, może znalazłaby się jakaś ulica, którą można by nazwać imieniem Hilarego Minca.*

*I na koniec niech pan pomyśli, co przeżywały rodziny więźniów Zamku lubelskiego, gdy przez 8 lat nie widziały swoich bliskich, bezprawnie aresztowanych i rozstrzelanych. Dlaczego po śmierci Stalina w 1953 r. nie nastąpił w Polsce czas odwilży? Tak, tak, zgadzam się z panem, tow. B. nie był aniołem, ale do diabła niewiele mu brakowało.*

**Marek Bieńkowski**
Lublin

✦

*Jestem stałym czytelnikiem „Polityki" i od początku waszych „Relacji". W nawiązaniu do artykułu Henryka Borowskiego z Lublina („Relacje"*

**Dokończenie na str. 13**

## „UKRAIŃSKA MOWA NAWET W TUNDRZE NIE STAŁA SIĘ KARŁOWATĄ ROŚLINĄ"

# POTRZEBA ODWZAJEMNIENIA

### Rozmowa z Josifem Łosiem, docentem Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu we Lwowie

**— Doskonale mówi pan po polsku. Ma pan jakieś polskie koneksje?**

— Nie. Jestem Ukraińcem, choć z polskością i Polakami stykałem się od dzieciństwa. Urodziłem się w Niżankowicach, nie opodal Przemyśla, w dużej, ponad dwutysięcznej wsi. Jak w całej Galicji, żyli tam obok siebie Ukraińcy, Polacy, Żydzi: tworzyły się sytuacje i związki tak typowe dla pogranicza. Bardzo dobrze pamiętam z dzieciństwa panią Marię Kuzdrę, naszą sąsiadkę. Wspólnie spędzaliśmy święta, odwiedzaliśmy się. Obecnie żyje w Niżankowicach 15—20 rodzin polskich. Dzieci, moi rówieśnicy, ukończyły studia, wielu pracuje i mieszka we Lwowie, spotykamy się często. Mój przyjaciel z dzieciństwa, Lubomir Szyb, jest na przykład głównym inżynierem w Gorkach pod Moskwą. Utrzymujemy ze sobą kontakty do tej pory. Kontakt z Polakami to był w pierwszym rzędzie kontakt z językiem polskim, stąd odpowiedź na pańskie pytanie.

**— A obecny pobyt w Polsce?**

— Jestem po raz drugi. Byłem w 1971 roku, pisząc pracę doktorską na temat publicystyki „Trybuny Ludu". Obecnie przygotowuję rozprawę habilitacyjną „Prasa socjalistyczna a humanistyczne wartości człowieka i społeczeństwa". Piszę ją w oparciu o prasę polską, bułgarską i radziecką. Przy okazji, naturalnie, gromadzę materiały, informacje i doświadczenia, które mogą mi być pomocne w pracy dydaktycznej na uczelni. Prowadzę wykład kursowy z historii i współczesności prasy zagranicznej, 220 godzin rocznie.

**— Właśnie, niech pan nam przybliży nieco wizerunek swojego wydziału.**

— Wydział Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie kształci rocznie 75 studentów na studiach dziennych i 50 na zaocznych. Studia trwają 5 lat, kończą się obroną pracy dyplomowej. Istnieją trzy katedry: teorii i praktyki prasy radzieckiej, praktycznej stylistyki dziennikarskiej i historii dziennikarstwa, w której pracuję. Mamy własne radio i telestudio, drukarnię, pracownie fotograficzne. Baza ta służy kształtowaniu bardzo praktycznych umiejętności przydatnych w pracy zawodowej, wyrobieniu pewnego obycia i uniwersalności. Bardzo silny nacisk kładziemy jednak na fundamentalne przygotowanie studentów, tj. opanowanie warsztatowe, czystość języka, stylistykę, znajomość gatunków dziennikarskich i historii prasy. W tej mierze nie różnimy się zbytnio od systemu kształcenia na polskich uniwersytetach. Muszę tu nie bez dumy powiedzieć, iż nasz wydział uchodzi pod względem poziomu kształcenia i rangi za czwarty w Związku Radzieckim — po Moskwie, Leningradzie i Kijowie. Wśród naszych absolwentów są dziennikarze o znanych i uznanych nazwiskach, jak Galina Siemionowa czy Władimir Nadiein.

**— Ostry felietonista „Izwiestii"...**

— I bardzo popularny. Wie pan, Nadiein był moim kolegą ze studiów. To jest klasyczny przykład na to, że dziennikarstwa nie można się wyuczyć, że konieczna jest „iskra Boża". Otóż on był typowym przeciętniakiem, obibokiem i szałaputem. Opuszczał zajęcia, chałturzył w „Krokodylu" i w ogóle podchodził do wszystkiego na dużym luzie. Tymczasem wielu naszych bardzo dobrych studentów okazuje się potem miernymi fachowcami.

**— Co się dzieje z waszymi absolwentami? Otrzymują nakazy pracy, istnieją przymusowe skierowania?**

— W tej chwili już nie. Dostają skierowania z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego z Kijowa na trzyletnią praktykę do którejś z redakcji czy rozgłośni, a potem muszą sobie radzić sami. Część się wykrusza, część się przebija.

**— Są kłopoty z otrzymaniem pracy?**

— W dużych miastach, jak Moskwa, Kijów, Charków, czy Lwów — tak. Na prowincji, na wschodzie kraju — żadnych. Redakcje ogłaszają się, że poszukują dziennikarzy.

**— ?...**

— Tak, oczywiście, tych ogłoszeń jest bardzo dużo. Ludzie mają mieszkania, związki rodzinne. Jeśli ktoś mieszka, powiedzmy, w Tarnopolu, to nic dziwnego, że trudno mu się zdecydować na przeprowadzkę do Krasnojarskiego Kraju.

**— Odejdźmy na chwilę od spraw przyziemnych, zajrzyjmy do serca i duszy nieopierzonego dziennikarza. Czego go uczycie? Jakiego stosunku do profesji, jakie jest pańskie credo zawodowe? W końcu przecież kilkanaście lat przepracował pan w różnych redakcjach.**

— W moim pojmowaniu powołania zawodowego dziennikarza rzeczą najważniejszą jest serce, dobre serce i to, żeby lubić ludzi. Tak, nie wstydzę się wcale tego pozornie patetycznego sformułowania. Dziennikarz musi sobie postawić pytanie: dla kogo piszę? I musi mieć szlachetny cel. Jego pisanie powinno wzruszać czytelnika, dawać mu impuls do myślenia, emocjonować i prowadzić do rozumnych wniosków. Dziennikarz powinien zostawiać wątpliwości, alternatywy, miejsce dla myślenia czytelnikowi, a nie traktować go jak ciemną masę, pozbawioną rozumu i instynktu. Ja już nie mówię o tak oczywistej sprawie jak uczciwość. Jose Marti napisał kiedyś, że „najszlachetniejsze tworzywo Boga to porządny dziennikarz".

**— Wielka rzadkość w dzisiejszych czasach...**

— Owszem, rzadkość.

**— To bardzo piękne przesłanie, które pan wygłosił, jakby tchnące rosyjskim romantyzmem...**

— Nie jestem Rosjaninem...

**— ...ale praktyka radzieckiej publicystyki, w ogóle dziennikarstwa, stoi w jawnej sprzeczności z owym przesłaniem. Powiedzmy: stała przez dziesiątki lat. Te stosy makulatury, przez nikogo nie czytanej, to ugniatanie prymitywną propagandą ludzkich umysłów i ludzkiej świadomości, te ewidentne kłamstwa wreszcie... Prasa, dziennikarze byli gorliwymi wykonawcami woli rządców kolejnych ekip, rzecznikami ogłupiania i ubezwłasnowolniania społeczeństwa.**

— Nie wszyscy i nie w jednakowym stopniu. Niepokorni, uczciwi, często mogli pisać już tylko na ścianach cel.

# OKRĄGŁY STÓŁ I CO DALEJ?

Dokończenie ze str. 1

przedstawicieli elit społecznych podejmuje problemy strategiczne, rozwojowe, obliczone na dłuższą perspektywę czasową. Taka jest bowiem rola i zadania elit społecznych. Odczucia społeczne natomiast, zwłaszcza te kreowane przez kryzysową sytuację gospodarczą, skoncentrowane są siłą rzeczy na problemach dnia codziennego, na „dzisiaj", „tu" i „teraz".

**Dla elit sprawą podstawowej wagi jest instytucjonalizacja procesów reformowania państwa, co ma zapewnić ich trwałość i ciągłość.** Z pewnością w podobny sposób patrzy na „okrągły stół" zagranica. Natomiast dla myślących w kategoriach dnia dzisiejszego (co więcej — nieufnych i podejrzliwych, nieufnością i podejrzliwością dotychczasowych doświadczeń) nie ma istotnej różnicy czy „Solidarność" zyska prawną legalizację, skoro de facto i tak istnieje, czy Wałęsa będzie jej „prawnie zalegalizowanym" przewodniczącym, skoro i tak jest osobą publiczną. Z kolei uzgodnienia dotyczące prawa i praworządności, nie podejmujące od zaraz korekty uciążliwych dolegliwości prawa o wykroczeniach skierowanych przeciw opozycji politycznej — nawet jeśli deklarują niezależność sędziów — będą odbierane przez krytyczną opinię społeczną jako mało przekonywające.

**Tak więc już dziś nie można zapominać, że brak zrozumienia w skali ogólnospołecznej dla dłuższej perspektywy reformowania państwa i jego instytucji społeczno-politycznych może w poważnym stopniu ograniczyć szanse „okrągłego stołu".**

W tej sytuacji szczególnego znaczenia nabiera rozpoczęty w ostatnich miesiącach proces instytucjonalizacji sił społecznych, przejawiający się w postaci nowych stowarzyszeń i organizacji, mających ambicje stać się niezależnymi podmiotami życia społecznego, politycznego czy gospodarczego. Jest rzeczą wielce korzystną dla przyszłości kraju, że wypełniają one luki w amorficznym lub w znacznej części w sposób czysto formalny i uniformistyczny zorganizowanym społeczeństwie. Na ukształtowanie się ich i okrzepnięcie, zweryfikowanie ludzi i wybicie się nowych osobowych i jednocześnie instytucjonalnych autorytetów o zasięgu ponadlokalnym — potrzeba wszakże czasu. Istniejące autorytety lokalne, pozbawione zaplecza instytucjonalnego, mogą okazać się za słabe, aby sprostać wyzwaniom bieżącej sytuacji.

**Kolejna, czwarta niewiadoma i czwarty problem, który zadecydować może o powodzeniu „okrągłego stołu", lub jego porażce, to pytanie: w jakim stopniu „okrągły stół" skupił siły reprezentatywne dla obecnego układu sił społecznych i politycznych w Polsce?** Nie jest dla nikogo tajemnicą, że tak strona koalicyjno-rządowa jak i opozycyjno-solidarnościowa nie są strukturami jednolitymi wewnętrznie.

W pierwszej z nich zróżnicowanie znane jest od dawna. W partii szczególnie wyraźnie uwidoczniło się ostatnio na X Plenum KC. Prezentowane podczas „okrągłego stołu" opinie i stanowiska przedstawicieli stronnictw koalicyjnych świadczą o zaawansowanym stopniu ich autonomizacji, ale jednocześnie wspierają one tendencje proreformatorskie w partii.

Zróżnicowana jest również opozycja. Już podczas otwarcia „okrągłego stołu" jeden z jego uczestników, mec. Władysław Siła-Nowicki nie omieszkał zauważyć, że przy „okrągłym stole" znalazła się tylko „grzeczna »Solidarność«", podczas gdy „niegrzeczna" nie jest reprezentowana. Prymas Polski kardynał Józef Glemp w marcowym wywiadzie dla „Corriere della Sera", komplementując obrady „okrągłego stołu", wypowiedział się jednocześnie, że istniejący w Polsce układ dualistyczny rząd — opozycja jest w społeczeństwie katolickim układem niepełnym. Prof. Andrzej Tymowski z okazji ostatniego posiedzenia Społecznej Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa wyraził opinię, że przy „okrągłym stole" spotykają się członkowie partii z jej dawnymi dezenterami. Cokolwiek by powiedzieć, istnieje dość powszechna opinia, że „socjaldemokraci z partii" próbują się porozumieć z „socjaldemokratami z opozycji".

**Podstawowe pytanie, które musi być tutaj postawione, dotyczy realnej siły politycznej stron zasiadających przy „okrągłym stole".** Czy siły proreformatorskie okażą się dostatecznie znaczące i zdolne zyskać społeczne zaufanie, aby móc przeprowadzić do końca program reform? Nie jest wcale wykluczone, a przeciwnie — wielce prawdopodobne, że „niezadowoleni", i to po obu stronach, będą chcieli wziąć rewanż, kiedy dojdzie do realizacji postanowień „okrągłego stołu".

Wielką niewiadomą jest również przyszłe zachowanie OPZZ. Deklarując przy „okrągłym stole" swój klasowy charakter i obronę „interesów pracowniczych", obiektywnie wzmacniać może siły zachowawcze w obecnym establishmencie.

**Problem piąty i bez wątpienia najważniejszy dla procesu reformowania państwa to rozwój sytuacji ekonomicznej kraju w najbliższym okresie.** Szanse „niezadowolonych" na wzniecenie niepokojów społecznych byłyby znacznie mniejsze, gdyby kondycja naszej gospodarki była lepsza. Niestety, w krótkiej perspektywie na jej radykalną poprawę się nie zanosi, a nie jest wykluczone, że sami możemy ją jeszcze pogorszyć. Polska dla zreformowania się nie tylko gospodarczego, ale i politycznego, potrzebuje zewnętrznego zasilenia kapitałowego i technologicznego w trybie pilnym. Jeśli tego nie uzyska może znów stać się widownią niepokojów społecznych i to na dużą skalę.

W wielu wypowiedziach słyszy się, że sytuacja gospodarcza kraju stanowi klucz do rozwiązania jego problemów społecznych. W świadomości społecznej, w tym także w świadomości wielu ludzi parających się na co dzień polityką, nie dostrzega się niebezpieczeństwa polegającego na tym, że degradacja gospodarcza prowadzi nie tylko do nasilania się konfliktów, ale również do znacznej polaryzacji sił społecznych: zmniejsza liczebnie i osłabia rolę umiarkowanych i politycznego „środka", powiększa zaś i wzmacnia rolę ugrupowań i orientacji ekstremalnych. Taki scenariusz przeżyliśmy już w 1981 roku. Zaangażowani emocjonalnie w szukaniu winnych i złej woli bądź to po stronie partii i rządu, bądź też po stronie „Solidarności", nie dostrzegaliśmy obiektywnych prawidłowości, które właśnie przez szybko postępującą wówczas degradację gospodarki wzmacniały ekstremistów po obu stronach konfliktu. Nie trzeba dodawać, że ekstremiści — ci „dobrzy", bo „nasi", i ci „źli" po drugiej stronie — nigdy się nie doga-

Poza tym demoralizacja i zahamowanie swobodnej myśli nie dotyczą jedynie dziennikarstwa. Podobnie działo się przecież w literaturze, sztuce, nauce, a także w samej partii, działalności społecznej i politycznej. Stalinizm był systemem wszechogarniającym. Był wszechobecnym kłamstwem. Myśmy w praktyce budowania komunizmu zagubili najważniejszą sprawę: człowieka. To człowiek jest miarą wszechrzeczy, on ostatecznie weryfikuje sens doktryn i ustrojów. To moralność powinna dominować nad polityką i ideologią, nie odwrotnie! Co mamy dzisiaj? Nie mamy gospodarki, nie mamy wsi z jej tradycyjną, narodowo ukorzenioną kulturą i nie mamy czystego języka. Zamiast tego mamy „imperializm miast" — molochów rozrastających się, tratujących i niszczących przyrodę i naturę ludzką. Najcenniejsza wartość narodu — język, na przykład, uległ — jak to określam — lumpenproletaryzacji...

**— Pieriejstrojka i głasnost' mają być szansą zatrzymania tych katastroficznych tendencji? Czy jest to odreagowanie stalinizmu?**

— Uważam pieriestrojkę za wielki ruch moralny przede wszystkim. Jest to odbudowa poprzez moralne autorytety. Człowieka nie można na wieki przykuć do ołtarzy fałszywych proroków. To, co czyste i uczciwe, musi w końcu znaleźć się w dziennym świetle. Proszę zauważyć — Jelcyn, Sacharow, Miedwiediew — autorytety moralne, mimo różnych kolei losu dziś są osobami publicznymi i wpływają na bieg wydarzeń. Również Gorbaczow jest dla społeczeństwa takim autorytetem, mimo że nie wszystko mu się udaje i ma wielu przeciwników. Głównie wśród zwolenników starego porządku.

**— Właśnie, jaka jest, pańskim zdaniem, pozycja Gorbaczowa? Czy możliwy jest powrót stalinizacji?**

— Nie sądzę, by to było możliwe. Jeżeli, to na bardzo krótką metę, sposobami typu: stan wyjątkowy, silna centralizacja władzy itp. Spowodowałoby to szybką reakcję masowego sprzeciwu społeczeństwa, które oddycha już tlenem swobody dyskusji, głoszenia poglądów, wyboru. Radykalizm nadmierny, żywiołowość, mogąca prowadzić do usztywnienia kursu, nie jest dobrą rzeczą. Lepiej demontować stalinizm stopniowo, bezkonfrontacyjnie, jak to czyni Gorbaczow.

Oczywiście, jego pieriestrojka napotyka na opór. Na Ukrainie wygląda to bodaj najgorzej. Jest wielu działaczy partyjnych i administracyjnych, powiedzmy, starej daty. Przykład: w czasie wizyty Gorbaczowa w Kijowie otaczały go tłumy ludzi i powszechna sympatia, natomiast do I sekretarza Komitetu Ukraińskiego — Szczerbickiego studenci wołali — „Szczerbicki na emeryturę!". Chciałbym wyjaśnić, że linie podziału na zwolenników i przeciwników pieriestrojki nie przebiegają tylko wewnątrz aparatu partyjnego, wewnątrz inteligencji, czy wiekowo. Są na przykład młodzi staliniści-robotnicy, przyzwyczajeni do pewnej minimalnej wygody i świętego spokoju. Bo dotąd pili, trochę ukradli, nie przemęczyli się w pracy i mieli wszystko — wie pan, gdzie... Są też uczeni — ćwierćinteligenci, którzy nie mają talentu, ale mają tzw. siłę przebicia. Zrobią sobie z trzech książek czwartą, odfajkują po raz dziesiąty czy dwunasty ten sam wykład i chodzą w glorii naukowców. Tylko, że dzisiaj przychodzą do pustych sal wykładowych, bo młodzież bojkotuje ich zajęcia albo ostro protestuje przeciwko sposobowi wykładania. Dziś studenci otwarcie polemizują z tezami do niedawna uświęconymi. Ludzie przestali się bać i na tym przede wszystkim polega wartość naszej demokratyzacji.

**— I na czym jeszcze? Co dała pieriestrojka Ukrainie?**

— Proszę pana, w polityce nic się nie daje. Pieriestrojka stworzyła nam, Ukraińcom, możliwość ujawnienia aspiracji społecznych, kulturowych, szansę walki o nasze narodowe tradycje, o ich przywrócenie i uznanie. Wywołała ogromny ruch intelektualny na rzecz obrony ukraińskiej kultury, języka, oświaty. Wiodącą rolę odgrywają w nim pisarze i poeci: Lina Kostenko, Dymitr Pawłyczko, . Oleś Gonczarow, Borys Olyjnik, Iwan Dracz. Wybitny ukaiński pisarz historyczny — Roman Iwanyczuk, zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Żowtyń", założył we Lwowie Towarzystwo Języka Ukraińskiego, mające dziś oddziały w całej Ukrainie. Przeniosło się ono do Kijowa i działa w kierunku zakładania szkół, placówek oświatowych, teatrów ukraińskich i kultywowania ukraińskiego języka, twórczości i obrzędowości.

Ogromną rolę spełnia Związek Pisarzy Ukraińskich, zrzeszający około 2500 członków, z których ogromna większość działa we Froncie Narodowym i w „Ruchu na pomoc pieriestrojce". Inteligencja poszła szerokim frontem, zrywając z konformizmem, tracąc spokój, nawet pogarszając swoje stosunki i układy z władzą. Gdyby śledził pan dokładnie naszą prasę czy programy telewizyjne, zorientowałby się pan, do jak ostrych konfrontacji niejednokrotnie dochodzi.

**— Wynika z tego, co pan mówi, że wasza przebudowa napotyka jednak na duże opory. Rzeczywiście tak mozolnie to przebiega?**

— Tak, opornie to idzie. Zwłaszcza we wschodniej Ukrainie, silniej zrusyfikowanej. Taki Donbas, na przykład, jest rejonem, gdzie postępy „ukrainizacji" są najmniejsze. Duża część oficjalnej prasy, protegowanej przez „betonowe" kierownictwo, utrzymuje, że partia poradzi sobie sama z pieriestrojką, że nie potrzeba społecznego nacisku, społecznej pomocy. Wszelkie inicjatywy niezależne można by, według tego, zastąpić działalnością partyjną. Tymczasem wyrosła nam szczególna kasta funkcjonariuszy, którym pojęcie narodowości, przynależności, tradycji jest najzupełniej obojętne. Dziś uważają się za Rosjan, jutro za Ukraińców, pojutrze mogą być nawet Chińczykami, byle — jak to się u nas mówi — „było koryto". Ci ludzie nie rozumieją czasu, który nadszedł, nie rozumieją, że pociąg już ruszył i pędzi coraz szybciej.

**— Tylko czy ten ukraiński ekspres nie stratuje nas, Polaków? Naszych rodaków, którzy żyją na Ukrainie?**

— Czy pan koniecznie chce wywoływać upiory przeszłości? Polacy powinni sobie uprzytomnić, że póki tu ziemia będzie się obracać, będziemy na siebie skazani. Przecież jest was około 39 milionów w Polsce, 12 milionów za granicą, a nas ponad 50 milionów, więc istnieje pewien parytet liczbowy. I parytet historyczny. Pan prezentuje tutaj utajone polskie fobie antyukraińskie. Dlaczego? Przecież mamy ze sobą mnóstwo wspólnego. My, Ukraińcy, czerpiemy z waszej kultury i czerpaliśmy przez dziesiątki lat, Polacy poprzez Ukrainę kontaktowali się, i szansa ta jest ciągle aktualna, z orientem. Jesteśmy równie ważni w europejskim układzie polityk i kultur. Znów użyję pewnej górnolotności: czasami sąsiad znaczy więcej niż brat. I to nie jest żadna amorficzna postać, tylko namacalna rzeczywistość.

**— A przeszłość? Wasz nacjonalizm?**

— A wasz nacjonalizm? Musimy sobie uzmysłowić, kto pobudzał antagonizmy narodowościowe? Jeśli pan by sobie położył na talerz kawałek mięsa i potem ktoś by panu to mięso zabrał, to jak by się pan czuł? Oczywiście wywołałoby to w panu agresję. Ta agresja była u nas pobudzana w ciągu z górą czterystu lat przez Polaków i niewiele krócej przez Rosjan. Przez te lata trwał ucisk ekonomiczny, językowy, polityczny. Reakcją był agresywny nacjonalizm, który skrajny wyraz znalazł w działalności OUN i UPA. Ja tego nie aprobuję i nie zamykam na to oczu, lecz nie widzę żadnych przesłanek do nawrotu tych tendencji. Wszak nie mamy dziś sporów etniczno-terytorialnych, brak jest też innych elementów konfliktujących nasze narody w przeszłości. Wyrosły nowe pokolenia, nie obciążone kompleksami i uprzedzeniami, żyjące podobnymi problemami codzienności. Pokolenia otwarte i chłonne. Wie, pan, to znakomicie widać we Lwowie, mieście taki stotnym dla świadomości obu naszych narodów.

**— Ha, w rozmowie Polaka z Ukraińcem oczywiście hasła „Lwów" nie sposób pominąć. Czym jest Lwów dla**

Dokończenie na str. 13

dają, mogą tylko prowadzić do konfrontacji i podejmować próby wyeliminowania lub zniszczenia „przeciwnika". Ich formą walki jest bardzo często prowokacja, sposób mogący liczyć na powodzenie wśród niewyrobionych i nieprzygotowanych politycznie kręgów społeczeństwa.

**Prowadzona do niedawna polityka „nadopiekuńczego" państwa wytworzyła pewien typ świadomości społecznej, która na zasadzie inercji przez wiele lat utrudniać może proces przebudowy.** Wytworzyła ona lub też ugruntowała istniejące wcześniej postawy, tworzące pewien konserwatywny syndrom, trudny do rozbicia w krótkim czasie.

U podstaw tego syndromu leży niski poziom wiedzy ekonomicznej ogółu społeczeństwa. Nie mamy w tej dziedzinie wielkich tradycji, które tworzyły gospodarcze potęgi Europy, bazujące na zapobiegliwości i oszczędności kultury mieszczańskiej Anglii, Niemiec czy Francji. Wprawdzie społeczeństwo nasze przechodzi ostatnio przyspieszony proces edukacji ekonomicznej, ale śmiem twierdzić, że mało ono wie o gospodarce, gospodarowaniu i specyfice procesów ekonomicznych. Szczególnie zaś mało o tym, że kryzysy gospodarcze są procesami długotrwałymi, rozłożonymi w czasie i niepodatnymi na „deklaratywne" czy „dekretowe" rozwiązania. Tym właśnie różnią się od kryzysów politycznych, które można rozwiązać stosunkowo szybko przez „deklarację", zmianę ekipy rządzącej czy „umowę społeczną".

Z tą niską wiedzą ekonomiczną współwystępują postawy roszczeniowe, „wyuczone" w poprzednich okresach, szermujące hasłami plebejskiego egalitaryzmu, a dające znać ostatnio w całej fali żądań płacowych pracowników podejmujących strajki. Mogą się one stać szczególnie groźne, kiedy obniżenie poziomu stopy życiowej spycha ludzi do strefy ubóstwa. Jeśli dodamy, że już dziś około 40 proc. polskiego społeczeństwa znajduje się w tej strefie, to daje to przybliżony obraz wielkości zagrożenia. Przewagę zdobywają bowiem w takiej sytuacji emocje, którymi bardzo trudno jest w sposób racjonalny kierować.

**Po szóste, na trudną sytuację ekonomiczną nałoży się najprawdopodobniej i zaostrzyć ją może specyficzna kultura polityczna Polaków, aby nie powiedzieć — ubóstwo ich myślenia politycznego.** Charakteryzuje się ona w głównej mierze wyrażaniem ocen, opinii i emocji oraz brakiem zgody na określone działania władzy. Zresztą w okresie ostatnich czterdziestu lat wiele zrobiono, aby ten sposób politycznego myślenia i zachowania ukształtować i utrwalić. Społeczeństwa w jego masie nie nauczono myśleć w kategoriach celowo-racjonalnych, tzn. w kategoriach artykułowania konkretnych, racjonalnych celów i odpowiedniego doboru właściwych środków do ich realizacji.

Dotychczasowa praktyka w tej dziedzinie wytworzyła w społeczeństwie przeświadczenie, że polityka jest wyłącznie domeną władzy, poza zasięgiem realnego wpływu społecznego; że jest jej produktem, a nie procesem dochodzenia do rozwiązań kompromisowych. Jednostki pozbawione wpływu na decyzje dystansują się przecież od odpowiedzialności, reagują biernością lub w postaci tzw. nastrojów społecznych, ograniczając się tylko do ewentualnego zamanifestowania swej postawy „za" lub „przeciw". Kiedy więc z życia publicznego znika polityka jako proces formułowania racjonalnych celów i prowadzących do nich środków, grozi to wybuchem emocji, zdominowaniem życia publicznego przez nastroje, mało podatne na perswazję i racjonalne argumenty.

W tej dziedzinie „okrągły stół" stanowi niewątpliwie historyczny przełom. Ukazuje bowiem, że nabrzmiałe sprawy można negocjować i dochodzić do consensusu. Aby jednak ten nowy sposób politycznego myślenia upowszechnił się — trzeba czasu, a jeszcze bardziej pozytywnych wzorców realizacji zawartej „umowy".

**I po siódme wreszcie, nie można nie dostrzegać jeszcze jednego, podstawowego zagrożenia. Kiedyś, ponad 30 lat temu prof. Jan Szczepański, przedstawiając „próbę diagnozy" kryzysu lat pięćdziesiątych sformułował tezę, że zachowania społeczne w Polsce mają wiele cech zachowań frustracyjnych.** Zachowania takie mają bowiem szanse pojawić się wszędzie tam, gdzie społeczeństwo, mobilizowane do osiągnięcia ważnych celów społecznych czy gospodarczych, nagromadziło wiele energii do ich osiągnięcia, która jednakże, w wyniku różnego rodzaju blokad, nie mogła być w sposób racjonalny wydatkowana, a zakładane cele — nie zostały osiągnięte. Najczęstszym sposobem wyładowania nagromadzonej energii jest agresja.

Rozwój sytuacji w ostatnim okresie wskazuje, że próbuje się znowu mobilizować społeczeństwo wokół nowych priorytetów, jak: gospodarka żywnościowa, mieszkania, ochrona środowiska. Jednocześnie różnymi kanałami przedostają się wiadomości mówiące o narastającym kryzysie rolnictwa, o zaniżaniu planów budownictwa mieszkaniowego, o przeznaczeniu funduszów na ochronę środowiska na inne cele. Jeśli kolejne zapowiedzi uzdrowienia sytuacji (i to niekoniecznie tylko w wymienionych wyżej dziedzinach) pozostaną tylko zapowiedziami, następstwem może być wybuch społecznego niezadowolenia na dużą skalę.

Zdaję sobie sprawę z tego, że przedstawione problemy i zagrożenia zostały tutaj z konieczności tylko zasygnalizowane. Każdy z nich wymagałby bowiem szerszego potraktowania.

Ogólnie rzecz biorąc, „okrągły stół" stwarza wielką szansę i dla społeczeństwa, i dla władzy. Po obu stronach wymaga wzniesienia się ponad partykularne interesy w imię dobra nadrzędnego wszystkich Polaków. „Okrągły stół" tworzy pewne warunki: ich konkretna interpretacja oraz rozwój sił proreformatorskich stanowią dzisiaj wielką niewiadomą. Realizacja wynegocjowanej „umowy" wymaga ponadto czasu, którego tak jest mało albo nie ma go już wcale. Czas polityczny biegnie bardzo szybko i znaczony będzie w pierwszym rzędzie przez rozwój sytuacji gospodarczej.

Jak to się często powtarza, na porozumienie i reformy jesteśmy „skazani". Ale jednocześnie musimy być świadomi i tego, że jesteśmy skazani — miejmy nadzieję, że okresowo — na obniżenie stopy życiowej i wyrzeczenia. Na wyrzeczenia może zdecydować się tylko społeczeństwo zorganizowane, upodmiotowione i darzące rządzących koniecznym minimum zaufania. Znany chiński filozof i myśliciel społeczno-polityczny sprzed dwóch i pół tysiąca lat, Konfucjusz, skądinąd zwolennik silnej władzy, miał powiedzieć, że szczęśliwy kraj, który ma mądrych władców, silną armię i ufny lud; ale z tego wszystkiego najważniejszy jest „ufny lud".

„Okrągły stół" i realizacja wypracowanych porozumień jest jednocześnie wielką szansą budowy nowoczesnego i dynamicznego państwa w środku Europy. Jego alternatywą są rządy silnej ręki, żeby nie użyć skompromitowanego określenia — dyktatura. Ale przy tym drugim „rozwiązaniu" koszty będą znacznie większe, a rezultat mniej pewny, niż przy rozwiązaniu zaproponowanym przez „stół".

**Piotr Kryczka**

**Doc. dr Piotr Kryczka — kierownik Katedry Socjologii Rodziny i Wychowania Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, członek Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie.**

# „SĄD SEJMOWY" NAD MIKOŁAJCZYKIEM

Mieczysław Wieliczko

SPRAWOZDANIE stenograficzne z 31 posiedzenia Sejmu Ustawodawczego zawiera na łamach 10—23 wierny zapis debaty z 15 listopada 1947 roku, którą niemal bez reszty wypełniło przemówienie przewodniczącego Klubu Poselskiego PPR, wicemarszałka Zenona Kliszki, przewodniczącego Nadzwyczajnej Komisji do zbadania sprawy ucieczki Stanisława Mikołajczyka. Stwierdzenia Komisji, o czym za chwilę, i wnioski, które za stenogramem powtórzę, upoważniają do użycia w tytule określenia „sąd sejmowy", które jednak trzeba objaśnić.

W odległej naszej historii sąd sejmowy, powstały równocześnie z sejmem walnym, sprawowany przez króla (najwyższego sędziego) pospołu z senatem i deputatami wybranymi przez izbę poselską, rozstrzygał sprawy zagrożone najcięższą karą: śmierci, infamii, banicji i konfiskaty mienia. Były to, wedle ówczesnego rozumienia, sprawy kryminalne, jak zdrada ojczyzny, obraza majestatu, zabójstwo szlachcica i inne. Były też sprawy z kategorii przestępstw urzędniczych, podległe ze swojej natury jurysdykcji króla. Obok tego sąd sejmowy był najwyższą w trybie apelacyjnym, czyli trzecią, ostateczną już instancją, od której wyroku nie istniało odwołanie. Tyle z tradycji. Tak było na przełomie XV wieku, ale w roku 1947?

Powołanie Komisji Nadzwyczajnej poza organami Sejmu, jej nieograniczone (bowiem nigdzie nie określone) kompetencje i stąd dowolny tryb działania, a nade wszystko swoiste wyrokowanie w sprawozdaniu oraz propozycji tekstu uchwały Sejmu, nadają jednak owej Komisji przynajmniej zewnętrzne, formalne cechy, „sądu sejmowego". Dodajmy, że inne organa „sprawy" Mikołajczyka nie rozstrzygały już w kategoriach moralno-politycznych. A więc decyzje Sejmu były na swój sposób ostateczne.

Stanisław Mikołajczyk (1901—1966), działacz ruchu ludowego, przewodniczący Rady Narodowej i wicepremier (od 1940 r.), potem premier Rządu RP na Obczyźnie (14 VII 1943 — 24 XI 1944), a w kraju wicepremier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (28 VI 1945 — 5 II 1947) i prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego, zbiegł z kraju, co jest wiadome, zdaje się, powszechnie starszemu pokoleniu, ale jak ten fakt „funkcjonuje" w historiografii? Oto wyniki rekonesansu w kilku tytułach:

W „Dziejach Polski" pod red. J. Topolskiego (Warszawa 1975) można na s. 845 przeczytać: „W tej sytuacji S. Mikołajczyk w październiku 1947 r. zbiegł za granicę..." W „Historii Polski", w tomie autorstwa prof. J. Buszki, na s. 523 (Warszawa 1978, wyd. I) jest obszerniejsza wzmianka: „Jednocześnie proces rozkładu organizacyjnego PSL uległ wydatnemu przyśpieszeniu, przy czym jego punkt kulminacyjny stanowiła niewątpliwie ucieczka Mikołajczyka z kraju w drugiej połowie października 1947 r.". Natomiast „Zarys historii Polski" pod red. J. Tazbira (Warszawa 1979) podaje na s. 762: „W grudniu 1947 Mikołajczyk potajemnie wyjechał z Polski..." I tego nie komentuję, poza stwierdzeniem braku daty dziennej we wszystkich trzech najnowszych monografiach historii Polski.

Nie sprawdzałem, co też jest w podręcznikach szkolnych, ale usiłowałem „dojść faktu" w bardziej specjalistycznej literaturze. I też niewiele. W artykule „Miejsce Polskiego Stronnictwa Ludowego w obozie reakcji polskiej" (w: „W walce o utrwalenie władzy ludowej w Polsce 1944—1947" Warszawa 1967, s. 158—177) Ryszard Hałaba pisze, że „20 października 1947 r. przy pomocy ambasady amerykańskiej Mikołajczyk zbiegł do Anglii". Natomiast w przypisie 1 w artykule „Ruch ludowy w latach 1944—1949" (w: „Z dziejów Polski Ludowej", Warszawa 1966, s. 267—296) tenże autor stwierdza: „Mikołajczyk uciekł z Polski w dniu 19 października 1947 r."

Przerwać trzeba ten krąg domniemań stwierdzeniem, że Stanisław Mikołajczyk opuścił Polskę 21 października 1947 r. W kraju wprost rozszalała się kampania propagandowa i polityczna, której zasadnicze ramy nadała wspomniana na wstępie Komisja Nadzwyczajna Sejmu w składzie: Zenon Kliszko — przewodniczący, Adam Kuryłowicz — zastępca przewodniczącego, Jerzy Jodłowski — sekretarz; oraz członkowie: Władysław Bieńkowski, Bolesław Drobner, Jerzy Domiński, Lucjan Dura, Jan Grubecki i Stanisław Koter. Komisja ta przygotowała „sprawozdanie" przedstawione Sejmowi, a obok tego wydane zostały obszerne fragmenty z jej „dochodzeń"...

Leży to przede mną: czarna okładka, pośrodku rysunek głowy jakby odciętej (!?) i gdyby nie wdrukowany w jej kontur tytuł: „Przyczyny ucieczki Mikołajczyka", byłby to jego portret. Niżej podtytuł: „Zatajony dokument. Rewelacyjne zeznania". Copyright opiewa na „Wielkopolską Księgarnię Wydawniczą — Poznań"; „stopka" podaje: „Tłoczono w Drukarni św. Wojciecha p. Z. P. w Poznaniu", co się tłumaczy: „przymusowy Zarząd Państwowy". Brak autora; nazwisko redaktora to typowy anonim propagandowy z tamtego czasu — wstającego w Polsce stalinizmu. Zamilczę o przeinaczeniach tekstu pomiędzy podanymi fragmentami „zeznań posłów" a obok drukowanym tekstem „Sprawozdania", które zostało przedstawione Sejmowi. Szkoda tu miejsca na słowną ekwilibrystykę. Sięgnijmy do stenogramu, źródła autorytatywnego. Zenon Kliszko rozpoczyna:

„Wysoka Izbo! Specjalna Komisja, powołana przez Wysoką Izbę dla zbadania sprawy ucieczki Stanisława Mikołajczyka i jego kolegów, postawiła sobie za cel wyjaśnienie politycznego tła i politycznych motywów ucieczki. Komisja przesłuchała 24 posłów i czołowych działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Komisja przesłuchała również jednego z uciekinierów, posła Bryję Wincentego, zatrzymanego po przekroczeniu granicy polsko-czechosłowackiej. Ponadto Minister Bezpieczeństwa Publicznego, Stanisław Radkiewicz poinformował Komisję o dotychczasowym przebiegu śledztwa, prowadzonego przez podległe mu organa. W ten sposób Komisja zebrała bogaty materiał, naświetlający wszechstronnie polityczne tło i motywy ucieczki Stanisława Mikołajczyka oraz jego kolegów.

Stanisław Mikołajczyk do momentu ucieczki za granicę był prezesem Polskiego Stronnictwa Ludowego, toteż zagadnienie, w jakim kierunku rozwijała się sytuacja wewnętrzna Stronnictwa, było istotnym elementem w pracach Komisji. Komisja doszła do przekonania, że rozwój wewnętrznej sytuacji w PSL stanowił ważny polityczny motyw ucieczki. Opozycja przeciwko Mikołajczykowi i jego linii politycznej, jaką realizował od chwili swego powrotu do kraju i wejście do Rządu Jedności Narodowej, zaczęła — jak wynika z zeznań wszystkich niemal czołowych działaczy PSL — obejmować coraz szersze kręgi w Stronnictwie. Nawet wśród najbliższych i najwierniejszych do niedawna współpracowników Mikołajczyka rodziło się zwątpienie i niewiara w to, czy można dalej kroczyć po tej drodze, na którą Mikołajczyk wprowadził Stronnictwo. Rozkład objął nawet najbliższy zespół kierowniczy NKW, mimo usunięcia z niego działaczy jawnie przeciwstawiających się Mikołajczykowi".

POWYŻSZY wstęp do sprawozdania „ustawia" jakby „sprawę" i jasno widać, że nie kwestia ucieczki jako takiej, ale cała działalność Mikołajczyka po powrocie do kraju była przedmiotem badań Komisji. Czy osiągnięto zamierzone cele? Motywacja przyjęcia takich założeń „śledztwa" pozostanie zapewne tajemnicą członków Komisji. Piszę: „śledztwa", bowiem wszelkie wypowiedzi przesłuchiwanych posłów określano pojęciem „zeznanie", a stawiane im pytania zmierzały wprost do zebrania określonych „dowodów", charakteryzujących osobowość Stanisława Mikołajczyka jako osobowość przestępcy. Oto przykład, fragmenty „zeznań" posła Wójcika, sekretarza generalnego Naczelnego Komitetu Wykonawczego PSL, który poinformował na wstępie Komisję, w jakich okolicznościach usiłował ustalić miejsce pobytu Mikołajczyka...

**„Przewodniczący:** To było w piątek?

**Poseł Wójcik:** Tak. Po telefonach z Poznania, a następnie z Kielc, cała sytuacja dla nas stała się mocno podejrzana i dlatego po południu wspólnie doszliśmy do przeświadczenia, że trzeba zawiadomić o tym premiera. Zatelefonowaliśmy, że w pilnej sprawie na parę minut chcemy widzieć się z premierem.

**Poseł Jodłowski:** Kto mieszkał w tym mieszkaniu?

**Poseł Wójcik:** On z sekretarką Hulewiczową.

**Przewodniczący:** Czy służba była?

**Poseł Wójcik:** Nie wiem. Dozorca mieszkał piętro niżej, tam też mieszkał poseł Wójcicki.

**Minister Grubecki:** Jakie było pana pierwsze wrażenie? W Poznaniu — nic, w Kielcach — nic, jaka była pana pierwsza myśl?

**Poseł Wójcik:** Że się ulotnił. Kiedy otrzymałem wiadomość z Poznania, że go nie wzywano, że tam nie pojechał, należało przypuszczać, że coś innego z sobą zrobił. Przecież zapowiadał, że wróci, ustalił pewne prace, a w ostatniej chwili zrobił coś innego, fingując rzekome wezwanie go. Więc wszystkim nam, byli wtedy Bańczyk, Załęski, Kamiński, Wójcicki, nasunęło się podejrzenie, że jednak to jest ucieczka.

**Poseł Drobner:** Czy poprzednio wyjeżdżał do Poznania z Hulewiczową, czy sam?

**Poseł Wójcik:** Z Hulewiczową.

**Poseł Drobner:** Czy badaliście, czy ona wyjechała?

**Poseł Wójcik:** Było wiadomo, że obydwoje wyjeżdżają. Ona zakomunikowała Wójcickiemu, że jadą razem do Poznania, ponieważ prezes otrzymał wiadomość, że jego matka jest chora.

**Poseł Bieńkowski:** Kiedy to było?

**Poseł Wójcik:** Przed wyjazdem, już po posiedzeniu klubu, kiedy Wójcicki po posiedzeniu wrócił do domu.

**Poseł Domiński:** A jak to było z Korbońskim?

**Poseł Wójcik:** Widziałem Korbońskiego jeszcze we wtorek. W środę go nie było, w czwartek również. Ponieważ co piątek zbieraliśmy się, ustaliliśmy, kto jest, a kogo nie ma, i zwrócono uwagę, że Korbońskiego nie ma również. Korboński mieszkał w Podkowie Leśnej. Adresu jego nie znaleźliśmy, nie mieliśmy zanotowanego dokładnie jego mieszkania. Kolega Kamiński poszedł więc do firmy, której współwłaścicielką była p. Korbońska. Powiedziano mu, że p. Korbońska przez dwa czy trzy tygodnie nie była w sklepie.

**Poseł Domiński:** A czy nie sprzedała udziału, w sklepie nie mówiono?

**Poseł Wójcik:** Tego mi Kamiński nie mówił. Nie mogę sobie przypomnieć, ale mi mówiono później, że takie wieści nadchodziły.

**Poseł Domiński:** Czy pana nie zdziwiło to, że wszyscy ci ludzie byli związani z tzw. delegaturą rządu, z ludźmi na stanowiskach kierowniczych?

**Poseł Wójcik:** Zastanawiałem się nad tym powiązaniem. Ja np. znalazłem w sobie pewne uzasadnienie, jeżeli chodzi o powiązanie Mikołajczyka z Bryją, to łączył ich bardzo bliski i zażyły stosunek. Z Bagińskim ostatnio Mikołajczyk był bardzo dobrze, natomiast nie mogłem znaleźć uzasadnienia dla powiązania z Korbońskim.

**Poseł Domiński:** Nie wiązał pan tego z ich udziałem w Delegaturze?

**Poseł Wójcik:** Zdawało mi się dziwne, bo Bagiński w ostatnich miesiącach należał do tych, którzy wyrażali pewne wątpliwości co do słuszności linii, jaką Mikołajczyk reprezentuje.

**Poseł Domiński:** W jakim celu spotkali się w Sopocie Bryja, Korboński i Mikołajczyk w sobotę i z kim konferowali i na jaki temat?

**Poseł Wójcik:** Wiem, że Korboński był przez długi czas na urlopie, nie mógłbym tego powiedzieć.

**Poseł Domiński:** A że Mikołajczyk i Bryja byli tam w tym samym czasie, nie wiedział pan?

**Poseł Wójcik:** Po pewnym czasie wyjechał tam Mikołajczyk via Poznań, a Bryja przyjechał z Warszawy.

**Poseł Domiński:** Czy Bagiński też tam był?

**Poseł Wójcik:** Zdaje się, że też.

**Poseł Domiński:** Z kim pertraktowali?

**Poseł Wójcik:** Nie wiem.

**Poseł Drobner:** Czy Mikołajczyk wziął z sobą pieniądze?

**Poseł Wójcik:** Nie mogłem tego jeszcze stwierdzić. Kasjer, płatny funkcjonariusz, miał u siebie klucze.

**Przewodniczący:** Pan w Sopocie nie był?

**Poseł Wójcik:** Nie byłem.

**Przewodniczący:** Czym wytłumaczyć, że pan, generalny sekretarz Stronnictwa, nie był pan w Sopocie i w tej naradzie nie wziął udziału?

[opuszczenie w źródle]

**Przewodniczący:** Czy pan rozmawiał kiedy z Mikołajczykiem na temat jego możliwości wyjazdu z kraju?

**Poseł Wójcik:** Nie, na ten temat nie rozmawiałem. Teraz Bańczyk przypomniał, że kiedyś, kiedy była, zdaje się, sprawa węgierska, żartem zwrócił się do Mikołajczyka: »No, czas pomyśleć, żeby prezes też to samo zrobił«. Nie pamiętam, czy byłem przy tej rozmowie.

**Poseł Drobner:** Czy Mikołajczyk nie wspominał o tym, że sejm może go wydać?

**Poseł Wójcik:** W okresie procesu krakowskiego, kiedy wrócił z urlopu, był dość pilnie obserwowany przez pe-

wien okres czasu. Mówił o tym i ponieważ raz czy dwa w tym okresie mieliśmy posiedzenie prezydium w jego mieszkaniu, mogłem sam zaobserwować, że był obserwowany. To mu grało na nerwach. Później sam mówił, że tej obserwacji już nie ma. Widocznie im się znudziło.

**Poseł Bieńkowski:** Czy w PSL wśród kierowniczego aktywu mikołajczykowskiego były tendencje do rozwiązania Stronnictwa? Czym to motywowano?

**Poseł Wójcik:** Były rozmowy na ten temat. Motywowano to tym, że nie ma możności działania... Dyskusja na ten temat była podejmowana, że jesteśmy w ślepym zaułku i droga, którą kroczymy, nie jest właściwa.

**Poseł Bieńkowski:** Jaki był stosunek Mikołajczyka do tych tendencji?

**Poseł Wójcik:** Negatywny. W związku z tą projektowaną konferencją, na której wysuwany był Załęski jako referent tych zagadnień, spotkałem się z dość mocnymi akcentami sprzeciwu.

**Poseł Bieńkowski:** To znaczy, że pan przychylał się w kierunku rozwiązania Stronnictwa?

**Poseł Wójcik:** Nie, ja zasadniczo uważałem, że rozwiązanie nie byłoby właściwe, natomiast zastanawiałem się nad zmianą linii.

**Poseł Bieńkowski:** Na poniedziałkowym posiedzeniu Klubu Mikołajczyk wygłosił referat polityczny, jak nam tu oświadczono.

**Poseł Wójcik:** Tak.

**Poseł Bieńkowski:** Czy z tego referatu wynikało, że przed Klubem i Stronnictwem mikołajczykowskim stoją jakieś specjalne zadania, wymagające zmiany form pracy?

**Poseł Wójcik:** Z referatu to nie wynikało. Referat był raczej zestawieniem pewnych informacji z zakresu sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej, a następnie był pewnym zastanowieniem się nad sesją budżetową, która nadchodziła, i nad tym, jak ewentualnie powinniśmy pracować na tej sesji.

**Poseł Bieńkowski:** To znaczy z referatu Mikołajczyka nie wynikało, żeby Polskie Stronnictwo Ludowe — grupa Mikołajczyka — miało zmienić formy czy metody pracy?

**Poseł Wójcik:** Nie, z referatu nie wynikało to absolutnie.

**Poseł Bieńkowski:** W związku z tym, jak kierownictwo mikołajczykowskie oceniało ucieczkę Mikołajczyka? Czy Mikołajczyk w tym referacie, w którym ustalał pewną drogę postępowania, polecał jak gdyby komuś kontynuowanie tej linii, czy to stanowisko było tylko zamaskowaniem ucieczki?

**Poseł Wójcik:** Ten wydźwięk, który referat znalazł u mnie i u kolegów, był tego rodzaju, że do ostatka Mikołajczyk na zimno grał.

**Poseł Bieńkowski:** Ale czy nie sądzi pan, że mógł być ktoś w kierownictwie, kto otrzymał instrukcje, żeby prowadzić politykę Stronnictwa dalej?

**Poseł Wójcik:** Nie widzę osoby, która by tego rodzaju zlecenie przyjęta, to znaczy w duchu, w jakim Mikołajczyk prowadził.

**Poseł Bieńkowski:** Czy z referatu Mikołajczyka wynikało, że jemu osobiście czy też Stronnictwu grozi jakieś specjalne niebezpieczeństwo?

**Poseł Wójcik:** Nie, z referatu to nie wynikało.

**Poseł Bieńkowski:** Czy jednym z powodów ucieczki mógł być fakt, że w kierownictwie coraz większa ilość ludzi ustosunkowywała się krytycznie do linii Mikołajczyka?

**Poseł Wójcik:** Mógł, ale nie mogę tego stwierdzić, bo nie znam pobudek, jakimi Mikołajczyk się kierował. [...]

**Poseł Bieńkowski:** Z jakich źródeł Polskie Stronnictwo Ludowe czerpało dochody?

**Poseł Wójcik:** Przede wszystkim ze składek, poza tym w okresie przedwyborczym i wyborczym był specjalny fundusz wyborczy, wreszcie ze składek państwowych.

**Poseł Bieńkowski:** Czy były jakieś dochody z zagranicy?

**Poseł Wójcik:** Ja o takich nie wiem Nie było.

**Poseł Bieńkowski:** Nie wiadomo panu?

**Poseł Wójcik:** To znaczy z tego, co ja wiem — nie było.

**Poseł Bieńkowski:** Czy Polskie Stronnictwo Ludowe miało jakieś fundusze z okresu okupacji?

**Poseł Wójcik:** Jeśli chodzi o fundusze z okresu okupacji, to ich nie znałem, bo w ostatnim okresie czasu dopiero dotykałem spraw centrali. Mówiono, że były jakieś fundusze, ale czy one były, nie wiem. W każdym razie Bryja ich nie przedstawiał.

**Poseł Domiński:** Kto nimi dysponował?

**Poseł Wójcik.** Nie wiem.

**Przewodniczący:** To pana jako generalnego sekretarza NKW, nie interesowało?

**Poseł Wójcik:** Interesowało, ale jak się zapytywałem, mówiono, że nie ma.

**Przewodniczący:** Jakimi funduszami dyspozycyjnymi dysponował Mikołajczyk?

**Poseł Wójcik:** Tego nie wiem.

**Przewodniczący:** Czy on się utrzymywał z diet poselskich?

**Poseł Wójcik:** Tego nie wiem.

**Przewodniczący:** Czy to pana nie interesowało jako sekretarza generalnego?

**Poseł Wójcik:** Z czego się ktoś utrzymuje, to jest jego sprawa.

**Przewodniczący:** Kto dokonywał wypłat?

**Poseł Wójcik:** Wszystkie wypłaty szły przez Bryję, który składał sprawozdania Mikołajczykowi.

**Poseł Drobner:** Czy Mikołajczyk złożył sprawozdanie po wyborach?

**Poseł Wójcik:** Na ostatnim posiedzeniu NKW zażądano sprawozdania, ale Bryja tego sprawozdania nie miał, a wówczas prezes zobowiązał się, że dopilnuje, żeby na najbliższym posiedzeniu NKW skarbnik złożył sprawozdanie. [opuszczenie w źródle]

**Przewodniczący:** Co pan wie o kontakcie Mikołajczyka z ambasadą angielską i amerykańską?

**Poseł Wójcik:** Kiedy był jeszcze w rządzie, wiem, że się spotykali. Po wyjściu z rządu na temat kontaktu z ambasadami nic nie wiem, wiem tylko, że przychodzili do niego dziennikarze.

**Przewodniczący:** Czy sam nie bywał w ambasadzie?

**Poseł Wójcik:** Ja o tym nie wiedziałem [...]".

NASTĘPNIE indagowano Bryję:

„**Poseł Bieńkowski:** Czy Mikołajczyk w ostatnich czasach bał się wydania go przez sejm sądowi, czy ta sprawa była omawiana?

**Poseł Bryja:** U nas nigdy ani prywatnie, ani publicznie nie była omawiana.

**Poseł Bieńkowski:** Pańskim zdaniem obawa Mikołajczyka przed wydaniem go sądowi nie istniała?

**Poseł Bryja:** Nie, nie zauważyłem do ostatniej chwili, aby się obawiał.

**Poseł Bieńkowski:** A pan?

**Poseł Bryja:** Też nie. Przychodziły pewne wiadomości, których poważnie nie traktowaliśmy.

**Poseł Bieńkowski:** Czy proces krakowski mógł wpłynąć na samopoczucie Mikołajczyka?

**Poseł Bryja:** Bardzo. Wpłynął na samopoczucie nas wszystkich.

**Poseł Bieńkowski:** Źle?

**Poseł Bryja:** Bardzo.

**Poseł Bieńkowski:** Komu Mikołajczyk poruczył kierowanie Stronnictwem po swojej ucieczce?

**Poseł Bryja:** Nie wiem, bo w ogóle z nim nie rozmawiałem, ani nie pożegnałem się z nim — wyszedłem wcześniej do biura. Miałem cały dzień do czynienia z uporządkowaniem swoich spraw. Pozałatwiałem sprawy z urzędnikami, powiedziałem, że jadę do Katowic i Kielc, że wrócę w piątek albo w sobotę, powiedziałem to, aby upozorować wyjazd.

**Poseł Bieńkowski:** Czy pańskim zdaniem Mikołajczyk uciekając zrezygnował z kontynuowania swojej linii politycznej w PSL, czy też uważał, że po jego ucieczce ktoś tę linię będzie kontynuował?

**Poseł Bryja:** Uważam, że decydując się na wyjazd. Mikołajczyk absolutnie nie liczył na kontynuację swojej linii.

**Poseł Bieńkowski:** To przyznanie klęski?

**Poseł Bryja:** Tak. Nie widzę ani osoby, ani możliwości, po usunięciu się Mikołajczyka, aby ktokolwiek podjął się kierowania Stronnictwem po linii Mikołajczyka.

**Poseł Bieńkowski:** Czy kontrolowaliście oskarżenie ze strony obozu demokracji co do kontaktów Mikołajczyka z zagranicą?

**Poseł Bryja:** Jeśli idzie o kontakty, wiedziałem, że miał kontakty. Przyjeżdżali dziennikarze oraz ci tzw. „rolnicy", bywali u niego. Trudno było kontrolować, nikt nie zna angielskiego, nikogo nie zapraszano.

**Poseł Bieńkowski:** Pan pamięta, że zarzucano w prasie i w Sejmie Mikołajczykowi, że na jego linię polityczną wpływają czynniki zagraniczne. Jak się pan ustosunkował do tego?

**Poseł Bryja:** Uważałem, że te wiadomości nie są ścisłe, że jest dobrym Polakiem. Może linia polityczna pewnych stronnictw mu odpowiada, konkretnie linia Churchilla i jego osoba, ale nie wierzyłem w przyjęcie przez niego jakichś zobowiązań po tej linii.

**Poseł Beńkowski:** A dnia 20 października, kiedy pan się dowiedział, że zamierza uciec, jak się pan wtedy zapatrywał na to?

**Poseł Bryja:** Wówczas oceniałem tę sprawę w ten sposób, że Mikołajczyk doszedł do wniosku, że nie będzie mógł już prowadzić Stronnictwa. Uderzyło mnie w poniedziałek, że tak nagle to się stało. Trudno było analizować, inni członkowie byli zajęci, nie chciałem zresztą z nikim o tym mówić.

**Przewodniczący:** Żeby się nie wydało?

**Poseł Bryja:** Tak.

**Poseł Bieńkowski:** Ile pieniędzy przy panu znaleziono?

**Poseł Bryja:** 400 dolarów papierowych.

**Poseł Bieńkowski:** Czy pan ukrył jakieś pieniądze

**Poseł Bryja:** Tak, ukryłem 400 dolarów w złocie i 4.000 dolarów papierowych, ażeby mieć pewną rezerwę na wypadek ciężkiej sytuacji Stronnictwa. Wziąłem je od Mikołajczyka. Trzymałem je w biurze. We wrześniu Mikołajczyk zapytał mnie, gdzie je mam. Gdy powiedziałem, że w kasie, kazał je schować w domu.

**Poseł Bieńkowski:** Ukrył je już pan w październiku, wiedząc, że pan opuści kraj?

**Poseł Bryja:** Nie. [...]".

OTO „zeznania" kolejnego posła z PSL:

„**Poseł Bieńkowski:** Czy w początkach tego roku... nie zauważył pan zmniejszenia się zaufania do linii Mikołajczyka, odchodzenia ludzi od tej linii?

**Poseł Nadobnik:** Mam wrażenie, że te fakty są dostatecznie znane, o ile chodzi o grupę Wycecha, o ile chodzi o wypadki na ostatniej Radzie Naczelnej.

**Przewodniczący:** Czy można było mówić dwa miesiące temu o grupie Wycecha, czy też opozycja zaczynała przybierać szersze rozmiary?

**Poseł Nadobnik:** Mam wrażenie, że te wszystkie wypadki, które miały miejsce, mają związek z ogólną sytuacją międzynarodową, że inna sytuacja była wtedy, kiedy PSL rozpoczęło swoją działlność, inna była w r. 1946 a inna jest sytuacja na terenie międzynarodowym obecnie...

**Poseł Bieńkowski:** Czy to należy rozumieć, że sytuacja wewnętrzna i międzynarodowa się zmieniła, ale polityka Mikołajczyka się nie zmieniła i wskutek tego ludzie zaczęli mieć zastrzeżenia do tej linii?

**Poseł Nadobnik:** Sądzę, że tak.

**Przewodniczący:** Powiedział pan, że sytuacja międzynarodowa się zmienia, że jeżeli Polska nie może wpływać na sytuację międzynarodową, to niech przynajmniej nie będzie zarzewiem przyszłej wojny. Jak pan to rozumie?

**Poseł Nadobnik:** Że nie można dopuszczać do partii wewnętrznych; że naród Polski winien się znaleźć w jednym obozie.

**Przewodniczący:** I dlatego Mikołajczyk uciekł za granicę?

**Poseł Nadobnik:** Trudno utożsamiać naród z Mikołajczykiem.

**Poseł Drobner:** Czy stanowisko tego obozu, do którego wszyscy powinniśmy należeć, przez ucieczkę Mikołajczyka jest silniejsze czy słabsze?

**Poseł Nadobnik:** Uważam, że raczej silniejsze, dlatego że...

**Poseł Drobner:** Że pozbyliśmy się złudzeń.

**Poseł Bieńkowski:** Czy panu wiadomo o tym, że wśród grupy opozycyjnej PSL wysuwano żądanie ustąpienia Mikołajczyka, usunięcia go ze Stronnictwa?

**Poseł Nadobnik:** Wiadomo.

**Poseł Bieńkowski:** Jak się panu zdaje, czy dla przywódcy, którego we własnym obozie nawet jego bliscy zaczynają namawiać, żeby ustąpił, to nie jest moralna i polityczna klęska?

**Poseł Nadobnik:** Gdyby to miało miejsce, to tak. To były zresztą znane fakty.

**Poseł Bieńkowski:** To znaczy, że to mogło być powodem ucieczki, bo nie chciał dopuścić do swej politycznej kompromitacji...?

**Poseł Nadobnik:** Ten powód by go nie usprawiedliwiał.

**Poseł Bieńkowski:** Lepiej uciec, niż być usuniętym przez własnych ludzi.

**Poseł Nadobnik:** Ale jest kwestia odpowiedzialności za to co się mówiło i co się robiło [...]".

PRZYSZŁA także kolej na PSL-owskiego dziennikarza:

„**Przewodniczący:** Pytam pana jako redaktora »Gazety Ludowej«: jak pan ocenia ucieczkę Mikołajczyka?

**Red. Giełżyński:** Według mnie, zrobił kapitalne głupstwo, bo naraził swoich ludzi i pogrzebał swoje Stronnictwo. Więc był to postępek nielojalny.

**Poseł Drobner:** I pan się zgadzał z człowiekiem, który dawał panu instrukcje?

**Red. Giełżyński:** Były wypadki, że się nie zgadzałem.

**Poseł Drobner:** Na przykład?

**Red. Giełżyński:** Nie wiem, czy to jest interesujące dla pana.

**Poseł Bieńkowski:** Szalenie.

**Red. Giełżyński:** W wielu wypadkach nie zgadzałem się z jego taktyką i przemilczaniem rozmaitych rzeczy, byłem przeciwnikiem jednej listy, a byłem zwolennikiem bloku list, ostatnio uważałem, że należy bardziej podkreślać stanowisko nasze do utrzymania pokoju.

**Poseł Drobner:** A on chciał wojny?

**Dokończenie na str. 10**

# „SĄD SEJMOWY" NAD MIKOŁAJCZYKIEM

Dokończenie ze str. 8—9

**Red. Giełżyński:** Nie, on mówił, że też chciał pokoju, ale był wypadek, że nie puścił mojego artykułu o tym, jakim nieszczęściem byłaby wojna dla nas.

**Poseł Banaczyk:** Niewątpliwie.

**Red. Giełżyński:** Powiedział mi, że to jest dziś artykuł nie na czasie, że może wywołać złe wrażenie — nie bardzo rozumiałem motywy, które wówczas przytaczał [...]".

POWOLI wyłaniała się z tych zeznań sylwetka — złożona osobowość Mikołajczyka, niemal przestępcy i wedle ówczesnych wyobrażeń — wroga klasowego... Ale to nie wszystko. Ważką część „Sprawozdania" komisji zajmuje sprawa listu wiceministra spraw zagranicznych rządu brytyjskiego, Alexandra Cadogana, z listopada 1944 roku, skierowanego do Tadeusza Romera, ministra spraw zagranicznych Rządu RP, a będącego odpowiedzią na pytania, jakie Romer 31 października wysunął wobec rządu brytyjskiego. Pytania dotyczyły granic zachodnich (ze Szczecinem) oraz gwarancji niepodległości Polski. Mikołajczyk, jako premier, tego listu nigdy nie ujawnił i ten dokument stał się wiadomy na skutek interpelacji w Izbie Gmin w czerwcu 1947 roku. Komisja zmierzała więc do ustalenia opinii w tej kwestii ze strony przesłuchiwanych posłów, co miało odsłonić jeszcze jedną stronę osobowości Mikołajczyka. Oto przykłady:

**„Poseł Bieńkowski:** Czy pan pamięta, że rząd polski po przemówieniu Byrnesa robił wszystkie wysiłki, aby przeciwstawić się temu stanowisku, godzącemu w nasze interesy, że czynił zabiegi, ażeby zyskać zwolenników dla swego stanowiska?

**Poseł Banaczyk:** Pamiętam, to było jedyne i słuszne, to, co do rządu należało.

**Poseł Bieńkowski:** Czy Mikołajczyk zdawał sobie sprawę z wagi tego listu w tym momencie?

**Poseł Banaczyk:** Trudno mi odpowiedzieć.

**Poseł Bieńkowski:** Czy ten list w tym momencie miałby wielką doniosłość dla poparcia stanowiska Polski?

**Poseł Banaczyk:** Niewątpliwie.

**Poseł Bieńkowski:** Jak pan tłumaczy nieużytkowanie wówczas tego listu?

**Poseł Banaczyk:** Jeżeli Mikołajczyk był w posiadaniu tego dokumentu i go nie zużytkował, uważam to za rzecz wysoce szkodliwą.

[opuszczenie w źródle]

**Poseł Banaczyk:** Dla mnie jest rzeczą niewątpliwie jasną, że on powinien był bezwzględnie to zużytkować. Oczywiście nie mogę powiedzieć o motywach, które nim kierowały, bo to są subiektywne rzeczy.

**Poseł Bieńkowski:** Przeprowadźmy krótkie rozumowanie: Opublikowanie tego leżało w interesie Polski. A w czyim interesie nie leżało...? Niewątpliwie było niewygodne w wysokim stopniu dla rządu angielskiego... Stąd wniosek, że Mikołajczyk kierował się interesem rządu brytyjskiego.

**Poseł Banaczyk:** Zeznaję nie jako rzeczoznawca — zresztą trudno by mi było być tu rzeczoznawcą... Mógłbym stwierdzić, co ja zrobiłbym na tym miejscu. W pierwszym rzędzie podałbym to do wiadomości. Jeśli ktoś miał świadomość, że ma taki dokument w ręku i z niego nie skorzystał — uważam to za wysokiej klasy szkodnictwo.

[opuszczenie w źródle]

**Poseł Banaczyk:** Mnie się dziś jeszcze w głowie nie mieści, żeby on w interesie angielskim tego nie ogłosił.

**Poseł Bieńkowski:** Niech pan zwróci uwagę na wypadki, jakie nastąpiły po 20 października. Mikołajczyk uciekł, potem nastąpiły takie fakty: 1) opublikowanie, że wylądował wojskowym samolotem na wojskowym lotnisku, 2) fakt w Izbie Gmin, gdzie potraktowano ucieczkę jako akt polityczny, 3) wywiad, w którym Mikołajczyk zajął polityczną postawę, 4) fakt, że ucieczka Mikołajczyka była dokonana przy udziale jednej z obcych ambasad, co się ujawniło po zatrzymaniu Bryji i Hulewiczowej. Czy te fakty i to domniemanie, że kierował się tu interesami angielskimi dla pana jako polityka nie wiążą się?

**Poseł Banaczyk:** Nie tylko dla polityka, ale dla prawnika i dla każdego człowieka te rzeczy wiążą się. To są powiązania niewątpliwe.

**Poseł Bieńkowski:** Czy pan, obserwując działalność Mikołajczyka... nigdy nie miał wrażenia, że linia polityczna Mikołajczyka jest w jakieś mierze sugerowana przez czynniki zagraniczne?

**Poseł Banaczyk:** Nie, tego wrażenia nie miałem. [...]

**Poseł Bieńkowski:** My chcemy dojść do jasnej odpowiedzi... Zadajemy panu pytanie, czy zatajenie tego pisma było sprzeczne z interesem Polski?

**Poseł Bańczyk:** Mikołajczyk powoływał się na tyle rzeczy, że mu tyle przyrzekano.

**Przewodniczący:** Pytanie brzmi wprost, niech pan nie usiłuje omijać pytania i odpowie wprost: tak czy nie.

**Poseł Bańczyk:** Bezwzględnie było w interesie Polski ogłosić.

**Przewodniczący:** Ale nie zostało ogłoszone. W czyim interesie to leżało?

**Poseł Bańczyk:** Ja nie wiem. Trudno mi powiedzieć, czy to było na pewno w interesie Anglii.

**Przewodniczący:** Jak pan ocenia sprawę zatajenia tego dokumentu przez Mikołajczyka?

**Poseł Bańczyk:** Oceniam to jako zbrodnię.

**Poseł Domiński:** Była to zdrada czy nie zdrada?

**Poseł Bańczyk:** Do pewnego stopnia zdrada chyba.

**Przewodniczący:** Chyba! [...]

**Poseł Wycech:** Jeśli chodzi o ocenę działalności Mikołajczyka, muszę stwierdzić, że faktem ucieczki potwierdziło się bankructwo jego linii politycznej, która w skutkach swoich dała szkodliwe wyniki dla stronnictwa, wsi i państwa polskiego. Jeżeli chodzi o ocenę, sądzę, że fakt jego ucieczki przy pomocy czynników obcych wprzągł go do działalności sił międzynarodowych, do walki z Polską Ludową.

**Poseł Bieńkowski:** A jak pan sądzi, jakie motywy kierowały Mikołajczykiem, kiedy zataił ten list. Jakie motywy mogły nim kierować?

**Poseł Wycech:** Myślę, że stosunek Mikołajczyka z czynnikami brytyjskimi był bardzo bliski i on nie chciał tych dobrych stosunków ujawnieniem tego listu popsuć. Fakt nieujawnienia tego listu jest działaniem na szkodę państwa polskiego.

**Poseł Bieńkowski:** Czy to nie sugeruje panu, że nie ujawnił tego listu pod wpływem instrukcji z Londynu?

**Poseł Wycech:** Myślę, że tak. [...]

**Poseł Bieńkowski:** Czy panu znany jest fakt zatajenia przez Mikołajczyka bardzo doniosłego z państwowego punktu widzenia dokumentu, w którym rząd angielski w listopadzie 1944 roku pozytywnie ustosunkowuje się do granic na Odrze ze Szczecinem włącznie po stronie Polski?

**Poseł Załęski:** Słyszałem o tym dokumencie w poniedziałek bieżącego tygodnia.

**Poseł Bieńkowski:** Od kogo?

**Poseł Załęski:** Od wicepremiera Gomułki.

**Poseł Bieńkowski:** Jan pan oceniał to stanowisko Mikołajczyka wówczas?

**Poseł Załęski:** Jako wybitnie godzące w interesy Polski.

**Poseł Bieńkowski:** Czym się mógł powodować Mikołajczyk, zatajając to pismo?

**Poseł Załęski:** Cóż ja mogę powiedzieć.

**Poseł Bieńkowski:** Może wobec tego wydedukujemy to jakoś.

**Poseł Załęski:** Gdy się dowiedziałem o tym fakcie, to się dowiedziałem i o jego ocenie [...]".

W ŚWIETLE tych zeznań zarysowały się nowe cechy „przestępczej" osobowości Mikołajczyka, a przyznać trzeba, że umiejętności w ich określaniu Komisji nie brakło. Wręcz przeciwnie: „wydedukujemy to jakoś", stwierdził co dopiero członek Komisji, wykazujący, jak widać, największą, spośród całego grona Komisji aktywność w ustalaniu faktów.

Dysponując takim materiałem, którego część przywołałem, Komisja sformułowała końcową konkluzję w sposób następujący, jak podaje stenogram debaty sejmowej:

„Reasumując, Specjalna Komisja Sejmowa stwierdza, co następuje:

1. Stanisław Mikołajczyk, znalazłszy się w obliczu ostatecznej kopromitacji politycznej, uciekł z kraju w przewidywaniu, że centralne władze PSL usuną go ze Stronnictwa i w ten sposób znajdzie się poza nawiasem życia politycznego.

Przyczyną ucieczki Stanisława Mikołajczyka i innych jego najbliższych współpracowników mogły być również dodatkowe powody, których ustalenie jest zadaniem władz państwowych prowadzących dochodzenie w tej sprawie.

2. Stanisław Mikołajczyk uciekł z kraju w porozumieniu i na zlecenie wrogich Polsce czynników zewnętrznych, które widząc zbliżające się nieuchronnie całkowite bankructwo inspirowanej przez nich polityki Mikołajczyka w kraju, zdecydowały, że w zaistniałej sytuacji Mikołajczyk może oddać im większe usługi, przebywając poza granicami Polski i rozwijając tam działalność, wymierzoną przeciwko interesom Polski Ludowej.

3. Stanisław Mikołajczyk namówił do ucieczki posłów Bryję i Korbońskiego oraz ob. Bagińskiego i Hulewiczową celem nadania politycznej wagi swej ucieczce oraz usunięcia z kraju ludzi dopuszczonych do niektórych tajemnic swojej działalności.

4. Stanisław Mikołajczyk jako prezes PSL otrzymywał fundusze ze źródeł obcych.

5. Stanisław Mikołajczyk, kierując się obcymi interesami, ukrył ważny dokument, w którym rząd angielski oficjalnie potwierdzał nasze prawa do zachodniej granicy Polski. Tym samym działał Stanisław Mikołajczyk na szkodę państwa polskiego, przeciwdziałał dążeniu całego narodu do utrwalenia suwerennych praw Polski na odwiecznych ziemiach piastowskich.

Komisja stwierdza, iż Stanisław Mikołajczyk dopuścił się zdrady państwa i narodu polskiego, i skazał się na wieczną banicję z łona społeczności polskiej.

Komisja wnosi:

Wysoki Sejm raczy powziąć następujące uchwały:

1. Sejm Ustawodawczy R. P. pozbawia Stanisława Mikołajczyka mandatu poselskiego.

2. Sejm Ustawodawczy R. P. wzywa Rząd R. P. do pozbawienia Stanisława Mikołajczyka obywatelstwa polskiego.

3. Sejm Ustawodawczy R. P. pozbawia mandatu poselskiego posła Stefana Korbońskiego jako współuczestnika ucieczki Stanisława Mikołajczyka.

4. Sejm Ustawodawczy R. P. wyraża zgodę na wydanie władzom sądowym posła Wincentego Bryji".

Komentarz historyka do tak obszernych fragmentów stenogramu sejmowego i ogłoszonych dokumentów z prac Komisji może się ograniczyć do uwagi bardziej technicznej niż merytorycznej. Dlaczego? Usprawiedliwić trzeba dobór fragmentów i wybór najbardziej celnych, w moim odczuciu, wątków, by wykazać przebieg „śledztwa sejmowego" i określić jego metody. Uzyskane dane posłużyły jako uzasadnienie wniosków i propozycji uchwały Sejmu. A swoją drogą jest to „śledztwo sejmowe" kapitalnym przykładem i fragmentem walki politycznej u zarania polskiego stalinizmu. Prosty stąd wniosek, że likwidacja jego pozostałości winna w „sprawie" Mikołajczyka rozpocząć się od punktu jej „zakończenia", czyli od „sądu sejmowego". Tego domaga się elementarne poczucie przyzwoitości wobec faktów i człowieka mającego i tak miejsce w historii Polski.

**Mieczysław Wieliczko**

**Dr Mieczysław Wieliczko, adiunkt w Zakładzie Historii Najnowszej Instytutu Historii UMCS.**

NORMA, o której mówi ten tytuł, została wyrażona w artykule Waldemara Piaseckiego pt. „Ostatnia panorama Rzeczypospolitej", zamieszczonym w tygodniku „Relacje", nr 5, 16—22 II 1989, s. 16. Tytuł tego artykułu znajduje się pod (umieszczonym w obwódce) napisem: „Polska norma" (który w zestawieniu z treścią artykułu ma niewątpliwie sens ironiczny) i stąd nazwa mojego szkicu: „Nie-polska norma polskiego patriotyzmu".

Moje wystąpienie jest protestem, adresowanym do redakcji tygodnika „Relacje", przeciwko publikowaniu takich postaw, jak ta, którą wyraża tekst W. Piaseckiego. Podkreślam: moja wypowiedź jest protestem, a nie polemiką z W. Piaseckim (temu ostatniemu nie mógłbym przyznać rangi partnerstwa!).

Powodem wystąpienia W. Piaseckiego jest rozważana przez Stronnictwo Demokratyczne idea wzniesienia w Kocku panoramy bitwy, stoczonej pod tą miejscowością w dniach 2—5 października 1939 r. przez Samodzielną GO „Polesie" generała Franciszka Kleeberga (W. Piasecki udaje, że początkowo nie wiedział, którą z trzech bitew stoczonych — w ciągu naszej historii — przez oddziały polskie pod Kockiem mają na myśli działacze SD, lecz ten fragment jego tekstu może co najwyżej rozśmieszyć Czytelników).

Ocena tej bitwy jest pierwszym fałszem zafundowanym Czytelnikom „Relacji" w artykule W. Piaseckiego i — tym samym — pierwszym miejscem tego tekstu wywołującym mój protest. Według W. Piaseckiego bitwa ta była mało znaczącym epizodem, do którego przywiązuje się w Polsce wagę ogromnie przesadną i który oczywiście nie niesie „przesłania, równego temu, jakie posiada Panorama Racławicka". A zatem bitwa pod Kockiem nie zasługuje na panoramę, idea wzniesienia takiego pomnika opiera się na motywacji całkowicie irracjonalnej, a jeżeli się weźmie jeszcze pod uwagę sytuację kryzysową Kraju, to wysuwanie takich pomysłów zasługuje na społeczne potępienie.

Nie jestem oczywiście pewny, czy wzniesienie w Kocku panoramy byłoby dobrą formą uczczenia i upamiętnienia ostatniej bitwy stoczonej w wojnie obronnej Polski w 1939 r., lecz moje wątpliwości mają zupełnie inną (nie tak „istotną") podstawę niż ta, jaką W. Piasecki usprawiedliwia swoje oburzenie na tych, którzy taką ideę wysuwają i mają zamiar ją realizować. Podstawa moich wątpliwości streszcza się po prostu w pytaniu: czy warto powtarzać formy pomników, zwłaszcza w przypadku, gdy jedna realizacja danej formy, a tak jest właśnie w przypadku Panoramy Racławickiej, „dorobiła się" legendy, czyli statusu szczególnej pozycji w kulturze i historii Narodu?

Nie zgadzam się natomiast z twierdzeniem, że ostatnia bitwa w wojnie obronnej Polski w 1939 r. nie niesie takiego przesłania, jakie posiada Panorama Racławicka. Moim zdaniem, oba wydarzenia historyczne, o których mowa: i bitwa pod Racławicami w 1794 r., i bitwa pod Kockiem w 1939 r., mają wiele istotnych podobieństw i niosą przesłania równie doniosłe. W obu tych wydarzeniach tkwią wartości, dzięki którym są one doskonałym — nie waham się użyć tego wyrazu — narzędziem kształtowania rzetelnych postaw patriotycznych, a więc doskonałym narzędziem wychowawczym.

Nie będę oczywiście dokonywał analizy porównawczej obu wymienionych wydarzeń historycznych. Ograniczę się do kilku uwag o bitwie pod Kockiem. Uważam tę bitwę za dokument postawy moralnej Narodu Polskiego i Jego Armii w tamtym dramatycznym czasie. Postawę tę można opisać zwięźle w następujący sposób: Mamy obowiązek, zarówno względem nas samych, jak i ze względu na wszystkie zagrożone przez naszego najeźdźcę narody, w tym przede wszystkim ze względu na naszych sojuszników, walczyć z napastniczą armią wszędzie tam, gdzie jest to możliwe i jak długo jest to możliwe.

Postawa ta była realizowana bardzo konsekwentnie: prawie każdy zorganizowany oddział żołnierzy, posiadający dowódcę i środki walki, walkę prowadził, i to aż do wyczerpania swoich bojowych możliwości. Wzorcowym przykładem takiej postawy była właśnie SGO „Polesie" i stoczona przez nią bitwa pod Kockiem. Nazywam ten oddział naszego wrześniowego wojska wzorcowym przykładem omawianej postawy moralnej, ponieważ bitwa,

# PROTEST
# NIE-POLSKA NORMA POLSKIEGO PATRIOTYZMU

## Tadeusz Kwiatkowski

która upamiętniła się w sercach Polaków jako ostatnia i zarazem całkowicie izolowana bitwa w naszej wojnie obronnej w 1939 r., ukazuje tę postawę szczególnie wyraźnie. Podejmując tę bitwę dowódca i żołnierze SGO „Polesie" wiedzieli, że nie mają, i mieć nie mogą, perspektywy zwycięskiego zakończenia kampanii. Doskonale wiedzieli, że kampania jest przegrana.

Świadomość przegrywania kampanii nie mogła być jednakże dla polskich żołnierzy tamtego czasu usprawiedliwieniem kapitulacji przed wyczerpaniem możliwości prowadzenia walki. Dlatego walkę tę prowadzili mimo braku nadziei na zwycięstwo. Tak było też w przypadku żołnierzy generała Kleeberga. Nie mieli oni, i mieć nie mogli, nadziei na pokonanie armii Hitlera. Mieli jednakże możliwość prowadzenia walki, a ta możliwość oznaczała dla nich konieczność. Rozumieli ją nie jako obowiązek stoczenia bitwy lecz jako obowiązek prowadzenia walki możliwie jak najdłużej i możliwie najskuteczniej. Chcieli iść na pomoc walczącej Warszawie, a gdy się dowiedzieli, że Stolica, wyczerpawszy możliwości obronne, musiała się poddać, postanowili opanować składy amunicyjne w Stawach k. Dęblina, a następnie kontynuować walkę w oparciu o lasy i Góry Świętokrzyskie. Wróg jednakże pokrzyżował te plany. Jego 13 DZmot. zastąpiła SGO „Polesie" drogę i w ten sposób doszło do trwających kilka dni (2—5 października 1939 r.) walk, które przeszły do historii naszej wojny obronnej pod nazwą Bitwy pod Kockiem.

Nie była to oczywiście wielka bitwa, porównywalna pod względem zaangażowanych sił np. z Bitwą nad Bzurą, czy chociażby z bitwami pod Tomaszowem. Nie była też jednak obiektywnie mało znaczącym wydarzeniem nieproporcjonalnym (tak to chyba rozumie p. Piasecki!) do narosłej później legendy. Znaczenie tej bitwy w historii i ocenie wojny obronnej Polski 1939 r. jest duże, a jej sława pielęgnowana w sercach Polaków nie jest bynajmniej przesadzona.

Po pierwsze, bitwa ta miała — wbrew pozorom (i ocenom p. Piaseckiego) — godne uwagi znaczenie — jeżeli wolno się tak wyrazić — materialno-wojskowe. Polegało ono nie tylko na tym, że SGO „Polesie" pobiła 13 DZmot. Wehrmachtu, zadając jej duże straty, lecz przede wszystkim na tym, że opóźniła o wiele dni przerzut tej jednostki, oraz spieszącej jej na pomoc 29 DZmot., na front zachodni.

Po drugie — i przede wszystkim — Bitwa pod Kockiem miała wielkie znaczenie moralne. Jak już o tym mówiłem, była ona dokumentem postawy, która oznaczała walkę do wyczerpania możliwości. Była właśnie bitwą, która się zakończyła, gdy wyczerpały się możliwości walki. Była dokumentem wykorzystywania przez Armię Polską tych możliwości do granic ostatecznych, dokumentem jakże kontrastującym z postawą np. Armii Francuskiej, zadokumentowaną np. przez samozatopienie się potężnej floty w Tulonie (27 XI 1942 r.) w momencie wkroczenia do tego miasta oddziałów niemieckich (którym nikt nie próbował w tym przeszkodzić). Ta samozagłada floty francuskiej była nie tylko aktem tchórzostwa, lecz także — i przede wszystkim — zbrodnią wobec narodów okupowanych przez Hitlera i prowadzących z nim wojnę. To potężne narzędzie walki, właściwie użyte po stronie Sprzymierzonych, mogłoby się było przyczynić w istotnym stopniu do skrócenia wojny i — tym samym — do istotnego zmniejszenia liczby ofiar (a przecież w samej tylko Polsce w ciągu jednego dnia ginęło ponad 3000 ludzi). Małoduszne i tchórzliwe zniszczenie tego narzędzia walki było przeto zbrodnią.

Armia Polska nie popełniała takich zbrodni. Dla polskich żołnierzy posiadanie narzędzia walki oznaczało obowiązek jego skutecznego użycia i żołnierz polski ten obowiązek spełniał. Dodajmy, że żołnierz polski traktował ten obowiązek sumiennie i rozumnie zarazem. Nie był — wbrew temu, co niekiedy o nim mówią — szaleńczo odważny, lecz był odważny rozsądnie, czyli odważny po prostu, gdyż — jak mówi Platon w swoim dialogu „Laches" (dialog o odwadze) — **odwaga to moc rozumna w walce.** Taka właśnie rozumna moc w walce była cechą polskich żołnierzy tamtego czasu. Nie byli szaleńcami, samobójcami, nie walczyli żeby umierać, choć byli ofiarni. Walczyli, by spełniać obowiązek obrony Ojczyzny i Jej Honoru, nałożony przez daną im możliwość walki. Możliwość ta była granicą ich obowiązku; gdy się kończyła, kończył się ich obowiązek.

Tak było i pod Kockiem. Skończyli walkę, gdy wyczerpała się możliwość jej prowadzenia, co stwierdza wyraźnie w swoim pięknym, patriotycznym i mądrym ostatnim rozkazie Ich Dowódca: ponieważ kończy się żywność i amunicja, dalsza walka byłaby tylko daremnym przelewaniem krwi żołnierskiej, która jeszcze przydać się może. Rozkaz ten jest niewątpliwym wyrazem **mocy rozumnej w walce,** czyli odwagi oraz wielkiego morale Wojska Polskiego i Polskiego Narodu.

To morale, ten ethos pragnie utrzymać i rozwijać każdy polski patriota (a więc każdy prawdziwy Polak!), dlatego będzie prowadził dzieci i młodzież do miejsc, które są tych wartości trwałym dokumentem — do miejsc takich jak Kock. Pan Piasecki pokrzykuje w swoim artykule, że nie będzie tego czynił: „nigdy nie będę uczył swych dzieci na klęskach wojennych mojej ojczyzny". Obecność tego Pana w miejscach pamięci narodowej nie jest oczywiście niezbędna, a jego dzieci przyjdą — być może — bez niego i wbrew niemu.

Po odcięciu się tak ostrym od wojennych klęsk naszej ojczyzny i po zanegowaniu ich wartości wychowawczych, p. Piasecki raczył wypowiedzieć zdanie o patriotyzmie, a zaraz potem dodał: „Podobnie też nie będę uczył ich [tzn. swoich dzieci — dop. TK] rachunków na krzyżach, jakimi usiany jest mój kraj". Zdanie to (wraz z kontekstem, w którym się zawiera) nie tylko wyraża godny najwyższego potępienia, arogancki stosunek do polskich grobów żołnierskich, lecz także wmawia Polakom jakąś manię, polegającą na obłędnej fascynacji krzyżową drogą ich historii, fascynacji będącej rodzajem głupoty, która paraliżuje sensowną aktywność naszego narodu. Żeby obronić przynajmniej swoje dzieci (chociaż jego ambicje są niewątpliwie szersze, bowiem jako p o l s k i  p a t r i o t a chce wyrwać cały naród z paraliżującej fascynacji męczeńską przeszłością) przed takim paraliżem, postanowił nie liczyć z nimi grobów polskich żołnierzy.

Otóż to pokrzykiwanie o krzyżach jest drugim kłamstwem, które p. Piasecki usiłuje wmówić Czytelnikom swojej gazety i które jest powodem mojego (i chyba każdego uczciwego Polaka!) protestu. Pan Piasecki nie rozumie obowiązku czci i pamięci dla tych, którzy polegli w obronie Ojczyzny. Nie potrafi pojąć prawdy zawartej w zdaniu wypowiedzianym niedawno przez pewną poważną osobę (niestety, nie pamiętam nazwiska) w jednym z programów telewizyjnych: „Żołnierz daje Ojczyźnie życie. Ojczyzna powinna dać żołnierzowi pamięć. W przeciwnym razie Ojczyzna ginie". Dodajmy, że ta pamięć i cześć należy się żołnierzowi niezależnie od tego, czy poległ w bitwie zwycięskiej, czy zakończonej klęską.

Następnym miejscem artykułu Piaseckiego wywołującym mój protest są właśnie pokrzykiwania o klęskach militarnych naszego narodu. Odbieram te pokrzykiwania jako wyraz ironii, nagany i zarazem jakiejś perwersyjnej satysfakcji. Np. zwrot „totalna klęska" (p. Piasecki zgrywa się przy okazji na znawcę historii Kampanii Wrześniowej, sugerując Czytelnikowi np. totalne bzdury o Armii „Karpaty" i o generale Fabrycym) brzmi mi z jego tekstu wręcz entuzjastycznie! Nie idzie mi tu jednak o podkreślanie moich wrażeń wywoływanych przez omawiane pokrzykiwania, lecz o istotny fałsz, który p. Piasecki usiłuje tymi pokrzykiwaniami Czytelnikom sugerować.

Otóż nazywanie finałów bitew poszczególnych armii, grup operacyjnych, poszczególnych wielkich jednostek Wojska Polskiego, czy wreszcie całej Wojny Obronnej Polski w 1939 r., totalną klęską jest spojrzeniem jednostronnym, krzywdzącym i fałszującym polską historię. To oczywiście prawda, że Kampania Wrześniowa skończyła się prawie całkowitym zniszczeniem ówczesnej Armii Polskiej, i w tym znaczeniu była to wielka klęska militarna. Ta przegrana kampania miała jednak również istotny, przewyższający nieporównanie poniesioną klęskę (politycznie i militarnie przewidziany i założony przez ówczesne Władze Polskie) wynik pozytywny: wciągnęła Niemcy w wojnę światową, stając się w ten sposób gwarancją odzyskania niepodległości Państwa i udziału Polski w ostatecznym zwycięstwie.

Nie, panie Piasecki, ta przegrana nie była totalną klęską, mimo że była bardzo dużą i tragiczną klęską. Do klęski takiej dojść jednak musiało, skoro Polska wybrała drogę oporu, a nie drogę współpracy z Hitlerem, i skoro nasi Sojusznicy nie przystąpili do energicznych działań wystarczająco wcześnie. Ta klęska była tragiczną zapłatą za obraną drogę, ale ten wybór był jedynie słuszny. „Polska bić się musi, jeśli zostanie zaatakowana; bić się będzie nawet wtedy, gdy będzie osamotniona" — powiedział Polski Wódz Naczelny amerykańskiej dziennikarce w sierpniu 1939 r. „Bić się musimy, choć mają nad nami tak kolosalną przewagę" — powtarzał wielokrotnie dowodzącym polskimi zgrupowaniami generałom już w trakcie ponoszonych klęsk na frontach wojny obronnej.

Polska bić się musiała, ponieważ druga możliwość, tj. podporządkowanie się Hitlerowi i stanie się jego sojusznikiem, byłaby nie tylko hańbą i podeptaniem polskiego honoru narodowego, lecz także samobójstwem. I chyba nie tylko samobójstwem. Podkreśla się (słusznie!), że Polska została wyzwolona (nie bez własnego udziału i to nie tylko na frontach radzieckich!) przez Armię Czerwoną. Nie mówi się natomiast prawie zupełnie o tym, ile Związek Radziecki i Armia Czerwona zawdzięczają faktowi, że Polska nie przyjęła warunków Hitlera i nie przystąpiła do paktu antykominternowskiego.

Sądzę, że ta polska przysługa przynajmniej równoważy przysługę radziecką. By to zrozumieć, wystarczy pomyśleć, że w przypadku przyjęcia przez Polskę warunków niemieckich, Związek Radziecki byłby prawdopodobnie pierwszym krajem napadniętym przez Hitlera. Stałoby się to zapewne najpóźniej wiosną 1940 r., przy czym Armia Czerwona walczyłaby w całkowitej izolacji i to z siłami nieporównanie większymi niż te, z którymi musiała się zmierzyć 22 czerwca 1941 r., ponieważ Hitler: 1) dysponowałby na tym froncie całością swoich sił; 2) miałby Armię Polską wśród armii swoich satelitów.

Postawa Polski w 1939 r., okupiona wielkimi ofiarami nierównej i przegranej walki, a w jej następstwie długo trwającą okupacją kraju, miała ten między innymi skutek, że Związek Radziecki wchodził do wojny 22 czerwca 1941 r. jako kolejny członek koalicji antyhitlerowskiej. Dołączał po prostu, jako sojusznik, do walczących z Hitlerem już od dwóch lat mocarstw zachodnich. Napadnięty przez Hitlera, nie musiał walczyć w osamotnieniu, lecz miał od razu potężnych sprzymierzeńców. Zawdzięczał ich w istotnym stopniu postawie Polski w 1939 r. Nie miałby ich, bez tej mądrej, ofiarnej i bohaterskiej postawy; postawy, która spowodowała wypowiedzenie wojny Niemcom przez mocarstwa zachodnie.

Tę postawę Polaków Rząd Radziecki powinien był zrozumieć i właściwie ocenić już wtedy, tzn. we wrześniu 1939 r. Zakładał to, popełniając wielką pomyłkę, Wódz Naczelny Armii Polskiej, gdy wydawał rozkaz zakazujący atakowania wkraczających na wschodnie tereny Rzeczypospolitej oddziałów Armii Czerwonej. Wierzył, że wkroczenie tych wojsk nie powinno oznaczać działań Polsce wrogich. To, że te działania takimi były, że pociągnęły one tyle ofiar, nie tylko stanowiło tragedię Polaków, lecz przede wszystkim było niezrozumiałe z punktu widzenia interesów Związku Radzieckiego.

Nasza przegrana wojna obronna w 1939 r. nie może być przeto traktowana jako totalna klęska, skoro zaowocowała tak doniosłymi skutkami w przyszłym układzie sił alianckich, a trzeba dodać, że nie wszystkie możliwości, które stworzyła, zostały należycie przez aliantów wykorzystane: Francja np. zmarnowała w istotnym stopniu dany jej czas, zaś Związek Radziecki — i dany mu czas, i możliwość posiadania u swego boku polskich sił zbrojnych już w momencie hitlerowskiej napaści.

Ta ostatnia możliwość wymagała oczywiście innej postawy władz radzieckich w stosunku do obywateli polskich, mieszkających na terenach Rzeczypospolitej zajętych (jeśli oczywiście musiały być one zajęte) we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną, oraz w stosunku do znajdujących się w tym czasie na tych obszarach oddziałów Wojska Polskiego.

Zamiast stosować wrogie działania represyjno-militarne, Armia Czerwona powinna była otoczyć ludność cywilną życzliwą opieką, a oddziały wojskowe internować bez naruszania ich struktur organizacyjnych (tak jak to uczyniła Szwajcaria, internując polską Drugą Dywizję Strzelców Pieszych, po upadku Francji w czerwcu 1940 r.) i zabezpieczyć im — przez odpowiednio bliskie (w stosunku do miejsc internowania) usytuowanie magazynów — łatwy i szybki dostęp do broni w momencie hitlerowskiego ataku na ZSRR. Miałoby to nie tylko poważne znaczenie dla przebiegu wojny, lecz przede wszystkim zapobiegłoby wielu zbrodniom, tragediom setek tysięcy ludzi i „białym plamom" w historii stosunków między naszymi narodami; narodami, których wspólnym interesem jest wzajemna, głęboka przyjaźń.

Jest jeszcze jedno miejsce w artykule p. Piaseckiego prowokujące mój sprzeciw. Jest nim wywołanie imienia Berka Joselewicza. Nie mam oczywiście nic przeciwko temu, by była czczona pamięć tego polskiego bohatera żydowskiego pochodzenia. Wprost przeciwnie, uważam, że należy mu się od nas taka sama cześć i wdzięczność jak wszystkim innym polskim żołnierzom, którzy polegli w obronie niepodległości i honoru naszej Ojczyzny. Nie protestowałbym na pewno, gdyby np. p. Piasecki napisał specjalny artykuł o Berku Joselewiczu (pod warunkiem oczywiście, że byłby to tekst historycznie rzetelny).

Mój sprzeciw dotyczy nadużywania imienia tego bohatera, o co p. Piaseckiego posądzam. Przywołanie tego imienia zostało sztucznie przyklejone do tematu, jakim jest krytyka pomysłu wzniesienia panoramy Bitwy pod Kockiem. Fakt, że Berek Joselewicz poległ pod Kockiem, nie mieści się oczywiście w tym temacie, lecz p. Piasecki nie mógł sobie odmówić skorzystania z okazji, jaką jest to, że mówi o Kocku. Wymienił przeto potyczkę z Austriakami, w której poległ Berek Joselewicz, i nie omieszkał mocno zaznaczyć, że poległy był Żydem. Nie omieszkał przy tym zauważyć, że uczczenie pamięci tego żydowskiego bohatera nie mogło, z całą pewnością, być motywem promocji idei wzniesienia w Kocku panoramy bitwy.

Dlaczego to wszystko prowokuje mój protest? Dlatego, że dopatruję się w tym próby wmawiania Polakom (Czytelnikom gazety p. Piaseckiego), że mniejszość narodowa, którą reprezentował Berek Joselewicz, miała jakiś poważny udział w walkach o niepodległość Polski. Takiego udziału oczywiście nie było. Były tylko wyjątki, takie właśnie jak Berek Joselewicz, ale były to — zważywszy wielkość tej grupy narodowościowej na terenie Rzeczypospolitej — wyjątki nieliczne

**Dokończenie na str. 13**

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna" — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

# OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

## Wacław Flisiński

## *Córce mojej poświęcam*

**Isprawitielno-Trudowoj Łagier, 55 Łagpunkt, V Otdielenije, SEW-ŻELDOR-ŁAG, Nianda, Ustawymski rajon, Komi ASSR, stacja kolejowa URDOMA, 12 sierpnia 1940.**

Z obozowych posterunków zniknęli żołnierze NKWD. Zastąpili ich strażnicy Wochry [„Woorużennoj ochrany" — przyp. MD]. Bardzo niewesoła rzeczywistość.

Od samego początku pozostawaliśmy pod nadzorem NKWD, którego strzelkowie pilnowali nas także podczas transportów z Nowogradu Wołyńskiego do Zaporoża, a następnie — z Zaporoża do Kotłasu i wreszcie tutaj — do Niandy. Ale w połowie lipca Komendantura naszego obozu postanowiła wycofać obsługę wojskową NKWD i zmienić ją na tzw. Wochrę. Wochra miała pieczę nad obozami „zakluczonych" sowieckich osób cywilnych; obozy te znajdowały się w naszym sąsiedztwie. Stało się dla nas jasne, że chce się zmienić nasz status — z jeńców wojskowych na cywilnych. Postanowiliśmy nie podporządkowywać się Wochrze i żądając pozostawienia w obozie obsługi wojskowej, tak jak było dotychczas.

Następnego dnia, kiedy zadzwonił gong na „razwod" i wszyscy mający pracę na dziennej zmianie zaczęli wychodzić z baraków, aby ustawić się na placu zbiórek w kolumnę marszową, zobaczyliśmy, że przy bramie stoją na wachcie czarno ubrani strzelkowie Wochry, zamiast umundurowanych po wojskowemu enkawudzistów.

Poszedł wśród ludzi szmer: „Wracać do baraków! »Czarne kruki« chcą objąć nad nami ochronę!" Tymczasem przy bramie zebrała się już cała obozowa „świta", z naczelnikiem obozu na czele, i widać było, że chcą zorientować się, jak przyjmiemy tę zmianę.

Zaczęliśmy zawracać z placu zbiórek z powrotem do baraków. Na próżno „wachtior" i inni nawoływali: „Rebiata, stanowis po czetyrech!" Darmo „wospitatiel" wykrzykiwał, żeby stanąć na zbiórkę, bo on chce podać wiadomości o „wyrabotce" z wczorajszego dnia. Większość z nas siedziała już znowu w barakach. Po dziedzińcu kręciło się zaledwie kilkudziesięciu ludzi, ciekawych, co się dalej stanie.

Minuty i godziny oczekiwania mijały, a brać nadal tkwiła w barakach. Naczelnik wpadał pomiędzy grupki naszych z pytaniami w rodzaju: „Czto takoje słuczyłos'?" Ktoś mu, jakby od niechcenia powiedział: „My wojennyje ludi, nie życzymy sobie obsługi Wochry". Naczelnik posłał po komendanta, majora NKWD. Ten również wypytywał o przyczynę niechęci wyjścia do pracy. Dostawał podobne jak naczelnik wyjaśnienia: „Wy panimejetie, czto my wojennyje ludi, a nie zakluczonnyje; a Wochra, kak izwiestno i widno — tolko dla zakluczonnych!"

Po takich wyjaśnieniach major NKWD rozmawiał z naczelnikiem obozu i po chwili oddział żołnierzy NKWD stanął na bramie, a Wochra odmaszerowała. Nie było już tego dnia „wospitatielowego" kazania ani innych z mównicy pogadanek. „Wachtior" z NKWD odliczał, jak dotychczas, odchodzących czwórkami, wołając głośno: „Pierwaja, wtaraja, trietia..." i odnotowując na tabliczce z dykty, ilu i z której brygady wyszło na pracę.

Zdawało się przez ostatni miesiąc, że wszystko pozostanie po staremu. Ale już od pierwszych dni sierpnia, kiedy byliśmy w pracy, zaczęto powoli „podmieniać" strzelkow NKWD na strażników Wochry. Początkowo było to niezauważalne. Ale z każdym dniem „czarnych kruków" przybywało i przybywało. Już nie enkawudziści, ale „czarne kruki" wyprowadzały kolumny robocze z obozu. Już coraz gęściej strażnicy Wochry obsadzali posterunki wewnątrz samego obozu... Aż wczoraj okazało się, że ostatnich z obsługi obozu żołnierzy NKWD odstawiono po zmianie na stację bazy wodnej Nianda-Urdoma. A bagaż ich „izwozczyki" zawieźli na barki wodne odchodzące do Kotłasu.

W ten oto podstępny sposób zmieniono nam obsługę. A jednocześnie ziemniono status: z wojskowego na „zakluczonych".

**Obóz jeniecki Nianda, Komi ASRR, 15 października 1940.**

W ramach częściowego transferu jeńców przesunięto mnie wraz ze sporą grupą kolegów na pewien czas do obozu zwanego „Pustkowie" koło Kniaź Pohosta, gdzie znajdowali się głównie sowieccy „zakluczeni". My mieszkaliśmy w oddzielonej od reszty obozu, niewielkiej jego części, w jednym tylko baraku. Wchodziliśmy nie główną bramą obozową, ale znajdującą się z boku osobną furtką. Przebywałem w „Pustkowiu" od 15 sierpnia do 10 października. Teraz jestem już na szczęście wśród swoich dawnych przyjaciół, w „swoim" obozie z powrotem.

Po niemal półrocznym pobycie tutaj, rozeznałem się już w organizacji służb obozowych oraz organizacji pracy.

Jak przedtem wspomniałem, naczelnikiem obozu Nianda jest Ukrainiec nazwiskiem Warakuta. Jego zastępca, noszący oficjalnie miano „Pompotruda", Rosjanin, jest głównie odpowiedzialny za organizację pracy w obozie.

Następny w hierachii to „Prorab" — kierownik budowy, inżynier. O ile się orientuję, to Rosjanin, wolnonajemny, względnie — pochodzący z byłych „zakluczonych".

Następnie idzie „Nariadczyk". To właśnie on wysyła każdego ranka brygady do pracy prowadzone pod konwojem strzelków.

Z kolei — „Diesiatnik" (dziesiętnik). Jest on czymś w rodzaju dozorcy na trasie Dziesiętnik kontroluje pracę i zatwierdza jej wyniki; czasem również robi tzw. obmiary i stąd nazywany bywa również „zamierowszczykiem". Na samym początku naszego tutaj pobytu stanowisko to zajmowali tylko Rosjanie. Z czasem — podobnie jak w wypadku innych stanowisk — zaczęli je obejmować także nasi ludzie obozowi.

[Dołączony do dziennika dopisek z późniejszych lat:]

*Pamiętam, był przez pewien czas dziesiętnikiem Dziadzkiewicz. Po nim — młody szczeniak, dziewiętnastoletni, o nazwisku Paćko. Później spotkałem tego Paćko już w wojsku, w stopniu kaprala podchorążego saperów.*

*Nie cieszył się Paćko sympatią ludzi pracujących. Wymierzając „wyrabotkę", często zmniejszał liczbę wypracowanych centymetrów, aby w ten sposób zmniejszyć kubaturę urobku. A ze zmniejszeniem kubatury szło zmniejszenie racji chleba. Jego gorliwość przewyższała nawet gorliwość „zamierowszczyków" pochodzenia sowieckiego, którym — jeśli byli „zakluczonymi" — za niedokładne pomiary mogła grozić kara przedłużenia odsiadki.*

*Tam, gdzie dziesiętnicy byli bardziej liberalni, ludzie dostawali zwykle większe racje chleba. A o to przecież chodziło, żeby uzyskać np. 900 gramów chleba, a nie — 400 gramów. Tak się zaś działo nawet przy różnicy dosłownie kilku centymetrów kubicznych „normy", od której wyrobienia zależał n.b. także „drugi kocioł".*

*Po pewnym czasie pobytu w obozie każdy z nas orientował się już doskonale, ile musi „wyrobić", aby uzyskać 900 gramów chleba. I tak się przez cały dzień uwijał, obliczając równocześnie w głowie kubaturę „zaboju" (a jeśli nie sam, to z pomocą innych, którzy lepiej się znali na wymiarach kubicznych), żeby „norma" była pełna. I żeby nie pracować więcej, niż się należy. Ale gdy potem, wieczorem, przychodził taki Paćko i „obcinał" to temu, to tamtemu po kilka centymetrów kubatury, zaniżając dzienny wynik pracy, było to równoznaczne z całotygodniową głodówką. Spadało się natychmiast z 900 gramów na 400 gramów chleba.*

Dozoruje stale ludzi pracujących na trasie kolejowej — „Brygadier". Stoi on na czele jeńców zorganizowanych w roboczą brygadę, składającą się zazwyczaj z trzydziestu dwóch ludzi. Brygada mieszka w jednym baraku. Kiedy przenosi się kogoś do innej brygady, to jest to zarazem połączone z przesiedleniem go do innego baraku.

Ważną pozycję w organizacji pracy zajmuje „Normirowszczyk". To on reguluje i wyznacza normy na budowie. Początkowo te normy nie były wysokie. Z czasem zwiększono je podwójnie, a nawet potrójnie. Za podstawę ustalenia normy przyjmuje się wytyczne „odgórne" oraz wyniki podyktowane przez praktykę na danym terenie. Tak więc kiedy „stachanowcy" radzili sobie z wydobyciem większej liczby kubometrów niż większość innych jeńców, wtedy... dla wszystkich podnoszono normy.

Wracając do samego obozu... Bardzo ważną personą jest tu „Zawchoz" (zwiedujuszczy chaziajstwom) — kierownik gospodarstwa obozowego. Do jego obowiązków należy m.in. przydzielanie żywności na kuchnie. Wydziela ją oczywiście według norm przedstawionych mu w zestawach przez dziesiętników. „Zawchoz" zaopatruje także ludzi w odzież i buty, a w zimie — w rękawice.

Różnie, nawiasem mówiąc, bywa z tymi przydziałami. Nieraz trzeba dobrze nacisnąć własnych brygadierów, aby ci z kolei upomnieli się twardo u „Zawchoza" o nowe buty, fufajki lub burszlaki (długie watowane kurtki).

Szczególną rolę w obozie spełnia „Wospitatiel". Jest to, inaczej mówiąc, politruk mający pieczę nad wychowaniem komunistycznym obozowej społeczności. „Wospitatiel" każdego ranka na „razwodie" podaje do wiadomości statystykę „wyrabotki" z poprzedniego dnia, wymienia nazwiska tych, którzy pracowali „czestno" i „po stachanowsku", oraz tych, którzy pracować nie chcieli, tzw. „łodrow".

Na początku „wospitatielem" był Rosjanin. Po 15 sierpnia stanowisko to objął jeden z naszych, Bondarenko, o którym już przedtem, w opisie podróży z Zaporoża do Kotłasu, wspomniałem.

W biurach Komendantury pracują w zasadzie Rosjanie. Ale ostatnio przyjmuje się tam także „obozowych": Polaków, Ukraińców, Białorusinów i Żydów. Jest tam m.in. (w biurze rachunkowym) Józef Kudliński, a także dwaj bracia Timoszucy. Zatrudnieni są w „chborozce" [?] — Edward Karnicki i Paweł Miotełka. Obydwaj z naszego dawnego obozu w Zaporożu.

Po trasie budowy nasypu kolejowego biegają z teodolitem również dwaj Polacy, saperzy. Jeden z nich, Witkojo [?], opowiadał mi, że tak zwana „tufta" (strata) na naszym odcinku wynosi kilkadziesiąt tysięcy rubli z powodu złego wymierzania wypracowanych norm. Mam wrażenie, że nie pochodzi to z tytułu naszej pracy, ale z czasów kiedy „wyjomkę" (wykop), z którego my teraz czerpiemy, robili nasi poprzednicy, sowieccy „zakluczeni".

[Dopisek w dzienniku:]

*Obydwu tych saperów widziałem później w naszym wojsku. Jeden był podporucznikiem a drugi plutonowym.*

Służbę na wachcie przy bramie wejściowej dość często pełnił strzelok w stopniu sierżanta o nazwisku Walewski. Kiedyś, spotkawszy go na dziedzińcu, zagadnąłem: „Gaspadin Walewski, czy ty imiejesz rodzinę w Polsce?" „A po czemu ty spraszywajesz?" Wtedy wyjaśniłem mu, że nazwisko Walewski jest polskie, że w Annopolu, mojej rodzinnej miejscowości, mieszka lekarz o takim nazwisku. I że już za czasów Napoleona było to nazwisko w Polsce dobrze znane. Słuchał, słuchał — wreszcie mruknął: „Niet, nie znaju..." Powiedział mi jednak, że istotnie, jest z pochodzenia Polakiem, ale na dalsze „razgawory niet wremja".

Teraz, kiedy wróciłem z obozu „Pustkowie" znów do Niandy, Walewskiego już nie spotykam. Widocznie dostał transfer na inny obóz. Szkoda.

Z doświadczenia wiem, że im bardziej opryskliwie się z tobą obejdzie któryś ze strzelków czy obozowych „czynowników", to przy następnym spotkaniu budzi się jego serdeczność.

Kiedyś Mietek M. opowiadał mi, że w jednym z obozów spotkał człowieka, do którego w dwa słowa przemówił po francusku, ot, tak sobie, zdawkowo, prawie bez sensu. „I wyobraź sobie: chwyciło!" — dodał. Od tej pory Mietek doznał nie tylko wiele serdeczności, ale także wiele pomocy ze strony owego człowieka. Przez kilka miesięcy nie musiał wychodzić na robotę na trasę, tylko pracował w piwnicy obozowej przy przebieraniu kartofli (bo tym sowieckim człowiekiem był brygadier z działu gospodarczego).

„Bywało — mówił Mietek M. — że przebieramy kartofle lub przygotowujemy je dla kuchni i nie raz, i nie dwa odkładamy trochę dla siebie, za pazuchę. Jak wracałem do baraku wieczorem, to przygotowywało się dla siebie i dla kolegów kolację z tych właśnie kartofli i z okruchów chleba. No i kiedyś ten mój brygadier zrobił pod koniec pracy rewizję osobistą. Ja w tym czasie miałem za pazuchą trzy duże kartofle. Musiał, obmacując, wyczuć te trzy kartofle pod ręką. Ale... tylko znacząco się uśmiechnął. Potem głośno mnie skrzyczał. A kartofle... Niby to o nich zapomniał".

Wartość trzech czy czterech pozostawionych jeńcowi za pazuchą kartofli ten tylko ocenić może, kto sam łaknął kawałka chleba lub ugotowanego kartofla.

Warto jeszcze wspomnieć o kilku serdecznych przyjaciołach tutaj, w Niandzie.

Więc przede wszystkim: Leon Sławecki z Czemiernik w Lubelskiem. Znany jeszcze z Zaporoża. Na początku pracowałem tutaj z nim w jednej brygadzie, sypialiśmy koło siebie, w tym samym baraku.

Następnie: Teofil Cybok z Ostrzeszowa w Poznańskiem. Serdeczny kompan i towarzysz niewoli oraz pracy. Teofil pracował w Polsce w przemyśle ceramicznym. Żonaty, jedna córka. Znamy się jeszcze z Zaporoża.

[Dopisek w dzienniku:]

*Później, już w wojsku, przyjaźniliśmy się nadal, aż do czasu, kiedy Teofil został skierowany do Anglii, gdzie wstąpił do lotnictwa. Pisywaliśmy do siebie, aż do czasu demobilizacji z Polskich Sił Zbrojnych.*

Dalej: Józek Mikulski. Współpracownik na „zabojach" tutejszych. Dobry kompan i serdeczny przyjaciel. Pochodzi z Pustelnika pod Warszawą. Harmonista. Nie da sobie nigdy zrobić krzywdy, a bywa, że i mnie nieraz obroni przed brygadierem lub jego poplecznikami. Jak gruchnie swoim warszawskim słownikiem, to mizerota być jego przeciwnikiem. I jeszcze „po matuszkie" dołoży.

[Dopisek w dzienniku:]

*Józek Mikulski wycinał później kawałki na akordeonie podczas pobytu naszego we Włoszech, aż się dusza rwała. Wrócił do Polski, zdaje się, w październiku 1946 r.*

Mam jeszcze jednego znajomego harmonistę: Lipskiego, z brygady kolejowej „Śnieżka". Mieszka w IV baraku. Lipski grywał przed wojną w Warszawie czy też w Łodzi w zespole Golda i Petersburskiego na akordeonie. Popatrzyłem kiedyś na jego ręce i na jego palce. „A zagrałbyś teraz jeszcze tymi palcami na harmonii?" „Ooo, jakże! Daj tylko instrument!" — zawołał z błyskiem w oczach.

Wszyscy oni razem i pojedynczo — mili i grzeczni ludzie, przyjaciele niedoli, a o takich w ciężkiej sytuacji trudno. Dobrze się z nimi pracuje i przyjaźni w tym czasie, kiedy nieraz człowiek człowiekowi zdaje się być wilkiem.

**(Koniec odcinka 10. — cdn.)**

Podał do druku i opracował:

**Mirosław Derecki**

# POTRZEBA ODWZAJEMNIENIA

Dokończenie ze str. 6—7

**nas, Polaków, wiemy. Natomiast sądzę, że w Polsce panuje przekonanie o jego prowincjonalnym, peryferyjnym charakterze w obrębie współczesnej Ukrainy.**

— Peryferyjnym?! Lwów jest naszą dumą! Jest intelektualną, duchową stolicą Ukrainy. Inteligencja poczytuje sobie za chlubę kończyć studia w naszym uniwersytecie, tutaj publikować, podtrzymywać związki z miastem. Lwów jest znacznie bardziej ukraińskim miastem niż Kijów! Jeśli natomiast mówiłem o jego funkcjach dla zbliżenia naszych narodów, też nie przesadzałem. Polskość jest we Lwowie stale i mocno widoczna. I nie mówię już o tradycji historycznej. Przychodzi polska prasa: „Polityka", „Panorama", „Widnokręgi", prasa sportowa i kobieca, odbierany jest — i bardzo popularny — polski program telewizyjny. Przyjeżdżają wasi artyści i naukowcy. To wszystko ma liczną publiczność, wcale nie tylko polskojęzyczną. Wielu moich studentów, Ukraińców i Rosjan, zna język polski. Oglądają waszą telewizję, przeważnie aż do hymnu narodowego. Sam kilkakrotnie występowałem w naszych programach telewizyjnych w towarzystkie Konsula Generalnego PRL czy też prof. Leszka Mazepy, prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej i mojego przyjaciela.

Istnieje u nas Młodzieżowe Towarzystwo Lwa, skupiające studentów, uczniów — entuzjastów idei zbliżania narodów i kultur, kształtowania szacunku wobec odmienności. Ci młodzi ludzie zajęli się między innymi uporządkowaniem Cmentarza Łyczakowskiego. I muszę panu powiedzieć, że to wcale nie jest tak mile widziane przez władzę. Ja nie twierdzę, że stosunki polsko-ukraińskie mają idylliczny charakter, ale jest po naszej stronie wiele trudu i dobrej, przyjaznej woli dla zjednania Polaków. Choć problemów nie brakuje, a i my mamy pewne żale i oczekiwania pod waszym adresem.

**— Jakie, na przykład?**

— Proszę — sprawa Przemyśla. Przemyśl spełnia dla nas podobną rolę jak Lwów dla Polaków. Mieszka tam przeszło 2 tysiące Ukraińców. Tymczasem nasza piękna katedra została przekazana onegdaj karmelitom, wyeliminowano z nazewnictwa ulic wybitnych twórców naszej kultury: Szewczenkę, Szaszkiewicza czy Ulanę Krawczenko, znakomitą poetkę urodzoną w... Przemyślu. I ona nie ma nawet kawałka tablicy pamiątkowej. Albo inni twórcy, inne miasta — w Chełmie urodził się Michaiło Hruszewski, najwybitniejszy, światowej sławy historyk ukraiński, w Ciechanowie — poeta Wasyl Karmanski, w Jarosławiu — Stanisław Lutkiewicz, jeden z naszych największych kompozytorów, pochowany obok Marii Konopnickiej i Iwana Franki. To jest przecież niemal symboliczne. Te postaci nie doczekały się w Polsce skromnego choćby upamiętnienia. A przecież u nas istnieją ulice imienia wybitnych Polaków, tablice pamiątkowe; mamy we Lwowie chyba najpiękniejszy pomnik Mickiewicza. Smutny paradoks polega jeszcze na tym, że wymienieni przeze mnie ludzie byli wielkimi przyjaciółmi Polski i Polaków...

Tragiczny los spotkał zabytki naszej kultury w Polsce. Jeszcze w 1939 roku istniało 720 cerkwi, dziś zostało 390, z których większość się wali, a wiele zostało ograbionych. Niektóre z tych obiektów, jak cerkiew w Chotyńcu, pochodzą z XVI, XVII wieku. Cerkiew w Rybotyczu, woj. przemyskie, ma światowej sławy polichromie, tak mało w Polsce znane. Niszczeją także, często dewastowane, cmentarze. Przecież nie po to o tym mówię, by wznosić kapliczki nacjonalizmu. Chodzi o zwykłe rzeczy — o ciszę kultu i spokojną godność naszych prochów...

**— Myślę, że ma pan wiele słuszności w tych gorzkich zarzutach, ale sądzę, że obojętność wobec pamiątek ukraińskich jest, po pierwsze, funkcją historycznych zaszłości, a po wtóre, wynika chyba z niewielkiej znajomości w Polsce waszej, stosunkowo młodej kultury.**

— Nie tak znów młodej. W szeroko rozumianej formule kultury, obejmującej język, zwyczaje czy obrzędowość, jest to tradycja starsza od niejednego narodu europejskiego. Czy pan wie, że mamy ponad 200 tysięcy pieśni narodowych! Nasza kultura i język długimi okresami historycznymi nie mogły się swobodnie rozwijać, trwały w stanie półuśpienia. Dziś gwałtownie wzrastają, niczym roślina, która odzyskała słońce i wilgoć. W historii ludzkości jest wiele przykładów, że naród, który ma w genach zakodowane pewne wartości duchowe, jak: poczucie odrębności, własnej kultury, tradycje, język — przetrwa. Dymitr Pawłyczko napisał kiedyś: „Ukraińska mowa nawet w tundrze nie stała się karłowatą rośliną".

Że byliśmy kulturą otwartą, świadczy twórczość Iwana Franki, który swoje 6000 utworów napisał po ukraińsku, rosyjsku, polsku i niemiecku. W czasie obchodów 130. rocznicy jego urodzin, prof. Witgens z Wiednia wyraził opinię, iż gdybyśmy mieli jednego tylko Iwana Frankę, to i tak wystarczyłoby do bycia narodem światowego formatu. — Dlaczego tak mało go cenicie? — pytał. A przecież nie jest Franko jedynym. Chciałbym jako przesłanie zacytować na koniec naszej rozmowy innego wielkiego poetę, Tarasa Szewczenkę: „Uczcie się, moi bracia, uczcie się obcego, nie zatracajcie swego".

Rozmawiał:
**Leszek Wiśniewski**

# PROTEST

Dokończenie ze str. 10—11

Ta mniejszość narodowa Polski nie dopatrywała się, niestety, istotnego związku między sferą swoich interesów i niepodległością naszej Ojczyzny, dlatego zbiór patriotów polskich żydowskiego pochodzenia, podobnych do Berka Joselewicza i Jego żołnierzy, był raczej nieliczny (bardziej liczny był chyba zbiór mielojalnych względem Polski pobratymców Berka Joselewicza, takich np. jak ci, którzy utrwalili się w pamięci mieszkańców Grodna, po zajęciu tego miasta przez Armię Czerwoną we wrześniu 1939 r.). Tak, Panie Piasecki, sprawa jest raczej żenująca i byłoby lepiej nie prowokować wspomnień mających z nią związki.

Czas chyba przejść już do uwag końcowych. Ograniczę się do sformułowania trzech. W pierwszej chcę odpowiedzieć na pytanie: dlaczego zareagowałem na tak mały objętościowo i tak mało znaczący tekst? Otóż, po pierwsze dlatego, że ten mały i marny artykuł jest wystarczająco brzydki, by zwrócić na siebie uwagę; po drugie dlatego, że najwyższy już czas, by Polacy zaczęli protestować przeciw pouczeniom, na czym powinien polegać ich patriotyzm, zwłaszcza wtedy, gdy pouczenia te pochodzą od mentorów, którzy polskiego patriotyzmu zrozumieć nie są w stanie.

Druga moja uwaga końcowa dotyczy określenia „Nie-polska norma polskiego patriotyzmu" użytego w roli tytułu tego szkicu. Formuła ta nasuwa bowiem pytanie: nie-polska, tzn. jaka? Przymiotnik, którego mam pokusę użyć w odpowiedzi na to pytanie, byłby — być może — pochopnym i niesprawiedliwym uogólnieniem. Żeby przeto uniknąć takiej pochopności i niesprawiedliwości, przymiotnika tego nie użyję.

Moją trzecią (i ostatnią) uwagę końcową adresuję do Pana Redaktora Naczelnego „Relacji". Panie Redaktorze, chcę Panu powiedzieć, że: po pierwsze, zamieszczenie w jednym i tym samym numerze fragmentu pamiętnika „Od łagrów Komi..." oraz artykułu, który jest powodem tego mojego wystąpienia sprawia, że redagowany przez Pana tygodnik staje się pismem ideowo i — tym samym — logicznie niespójnym; po drugie, najwyższy już czas zatroszczyć się o to, by z tego, tak przecież młodego tygodnika zdjąć odium wyrażane w słowach (a słyszałem także — i to z ust osób bardzo kompetentnych — nieporównanie bardziej ostre określenia): „Powiększona wkładka do »Sztandaru Ludu«".

**Tadeusz Kwiatkowski**

# LISTY - POLEMIKI

Dokończenie ze str. 5

*11/89 str. 2 i 3) pod tyt. „Stalin, Bierut i »Czarcia Łapa«" dziwnym wydaje się fakt, że pozwalacie w „Polemikach" drukować (jako profesjonaliści) dla tysięcy waszych czytelników osobiste spojrzenie na proces stalinizacji Polski i rolę, jaką w niej odegrał Bolesław Bierut.*

*Autor stara się, moim zdaniem, naiwnie wprowadzić kolejny zamęt w umysłach naszego młodszego pokolenia w poznaniu prawdziwej historii w momencie, gdy białe i czerwone plamy zyskują coraz większe światło dzięki szczątkowym (jak dotąd) dokumentom i relacjom żyjących jeszcze nielicznych jej świadków.*

*Jakże niepoważne i wręcz szydzące porównanie fikcyjnego diabła do postaci Bieruta oraz kawiarni do jego pomnika.*

*Historia naszego Narodu to nie bajka, to ciężkie i brutalne doświadczenie w kolejnym rozdziale tworzenia zrębów Ludowej Ojczyzny, za które zapłacił On niewinnie wysoką cenę upokorzeń, krwi i wielu istnień ludzkich.*

*W konkluzji do cytowanego artykułu mogę mieć jedynie ten niedosyt, że nie starał się w nim autor przekonać jeszcze czytelników o potrzebie pozostawienia na „świecznikach" w NRD typowego Niemca — Adolfa Hitlera, bo ten rasę aryjską szanował nadzwyczaj i tego faktu historia nie ma prawa go pozbawić.*

*Nie widzę potrzeby polemizować więc z dalszymi wywodami autora, a zacytuję tu jedynie znaną Monteskiuszowską patriotyczną maksymę: „Każdy obywatel ma obowiązek poświęcić życie dla Ojczyzny, nikt nie ma obowiązku kłamać dla Niej", i to właśnie stało się podstawą do repliki i następującego mojego stwierdzenia: gdyby Bierut był prawdziwym Polakiem (i inni też sprawujący ówcześnie władzę), a nie „Iwaniukiem", nigdy nie zgodziłby się służyć wiernie Stalinowi i niszczyć świadomie najbardziej aktywnych synów narodu, prawdziwych Polaków.*

*Tacy ludzie jak Bierut w historii Polski zasługują, moim zdaniem, na tyle co Stalin za Gorbaczowa w Związku Radzieckim.*

*Z poważaniem*
**ppłk Roman Netczuk**
Lublin

## „LUBELSKA »BIAŁA PLAMA«"

*W „Relacjach" nr 5/89 redaktor Zbigniew Miazga w artykule pt. „Lubelska »biała plama«" przytoczył wypowiedź kierownika Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem", Zdzisława Kowalskiego, który między innymi stwierdził: „Zwróciłem się z prośbą o udostępnienie mi archiwaliów Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, ale jak dotąd odpowiedzi nie otrzymałem".*

*Pragnę sprostować słowa Zdzisława Kowalskiego, bowiem odpowiedź została udzielona za podpisem Szefa WUSW w Lublinie, płk. mgr. Aleksandra Chochorowskiego i brzmiała: „Odpowiadając na pismo z dnia 10 stycznia 1989 roku, l.dz. MM-I-6/89, informuję, że WUSW w Lublinie nie posiada żadnych materiałów dot. funkcjonowania więzienia na Zamku w latach 1944-54. W przedmiotowej sprawie proszę się zwrócić do Centralnego Zarządu Zakładów Karnych w Warszawie, ul. Rakowiecka 37".*

*Wracając do meritum sprawy (dostępu do dokumentów), informuję, że od miesiąca lipca 1944 roku do października 1956 roku więziennictwo podlegało Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie w tymże 1956 roku więzienia wraz z administracją i byłym Centralnym Zarządem Więziennictwa (obecnie Centralny Zarząd Zakładów Karnych w Warszawie) zostały przekazane Ministerstwu Sprawiedliwości.*

*Osoby i instytucje, w kórych zainteresowaniu pozostają do wyjaśnienia sprawy z lat ubiegłych, winny przede wszystkim zwracać się do Ministerstwa Sprawiedliwości lub Centralnego Zarządu Zakładów Karnych w Warszawie.*

Rzecznik prasowy szefa
WUSW w Lublinie
**kpt. mgr Anna Dubel**

*

*Nawiązując do artykułu z tygodnika „Relacje" z dnia 23.03.1989 r. nr 10 pod tytułem „Lubelska »biała plama«", nie sposób nie przyłączyć się do zebrania materiałów, które to być mają w przyszłości dla historyków wykazania białych plam, o co prosi świadków redaktor Zbigniew Miazga.*

*W artykule tym wypowiada się były żołnierz AK, podpisujący się ps. „Jurek". Nie będę polemizował, ale nieprawdą jest, że po wyzwoleniu zgłaszał swoje chęci do wojska, nikt w tym czasie nie szedł tak chętnie, natomiast szczególnie z bandy „Zapory". Do wojska brano wszystkich, wyłączając tylko kalekich, a takim przecież waleczny żołnierz nie był, ponieważ sama przynależność do bandy „Zapory" zaprzeczała faktom.*

*Nieprawdą jest również, że sadzano walecznego akowca na rozpaloną do czerwoności blachę gołym „tyłkiem". Gdzie w UB było szukać takich blach i specjalnych do tego kuchni czy pieców. Co za bzdury.*

*Wyroki śmierci wydawane były słusznie za tak zwane mokre roboty, których to dopuszczała się banda „Zapory" i jego wierni kompani, mordując żołnierzy WP, funkcjonariuszy milicji i UB. Aby nie być gołosłownym, można sprawdzić. W lesie między Hodlem a Bełżycami banda „Zapory" wymordowała 26 żołnierzy i funkcjonariuszy, którzy wpadli w zasadzkę. Żywych dobijali w rowie z pistoletu; jeden z oprawców tej bandy o nazwisku Misztal Władysław ps. „Bór" pochodził z Zemborzyc k. Lublina. Ta sama banda, na którą powołuje się akowiec ps. „Jurek" ma na swym koncie wiele mordów i zabójstw, których nie sposób wyliczyć.*

*Jest jeszcze jedna biała plama, o której trudno zapomnieć. W m. Borów w powiecie tarnobrzeskim banda ps. „Ząb" wymordowała 30-stu ludzi podstępem z AL; w perfidny sposób na zrębie pni sosny odrąbywano siekierą głowy, tłumiąc w ten sposób rozgłos hałasu strzelania. Tak w jednym, jak i w drugim przypadku stoją tam skromne pomniki.*

*Zdawałoby się, że czas zatarł ślady, ale błędy są po obu stronach. Każda władza, nawet i Piłsudskiego, potrzebowała ofiar, i to dużo. Obecna opozycja usiłuje sprawę białych plum wykorzystać jako jeszcze jedną okazję konfrontacji z władzą i z ustrojem, a z kolei pomniejsza i przemilcza własne białe plamy. Ale przecież nie o to chodzi, aby wzajemnie wracać do dramatów, co robiły bandy, a w szczególności banda „Zapory", czy Urząd Bezpieczeństwa, i kto ma rację, bo racja, jak kto woli, jest po obu stronach. Chodzi o to, aby nie tylko wyjaśniać mroki tamtych czasów, ale stworzyć wspólnie tamtą rzeczywistość, w której patriotyzm, wierność przekonaniom będą służyć wszystkim.*

*Myślę, że w tygodniku „Relacje" winny znajdować się bardziej prawdziwe artykuły, oparte na faktach, względnie obiektywne. Bo to, co pisze rzekomy żołnierz AK z bandy „Zapory" posługując się ps. „Jurek", to poza przynależnością do tej bandy i więzieniem, nie ma się czym chwalić, chyba że działalnością morderstw, których dokonywali w czasie przynależności do tej organizacji. W bandzie chory nie był, a jak szedł do wojska, zachorował „bohater".*

*Jeżeli pan redaktor ma wątpliwości, to proszę wydrukować mój list, a dowie się pan, jaki będzie odzew. Jednocześnie wyrażam chęć spotkania się z piszącym żołnierzem AK ps. „Jurek", której celem byłaby wymiana naszych poglądów na fakty, które mają odbicia w materiałach odpowiednich archiwów.*

*Z poważaniem czytelnik waszego pisma*

(Nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

NORMA KADMU NA DZIAŁKACH „JARZĘBINKI" ZOSTAŁA PRZEKROCZONA 78 RAZY

# DRUGIEJ ARKI NOEGO NIE BĘDZIE

## Zbigniew Dzięciołek

W OKRESIE propagandy sukcesu karmiono nas wizją Polski wielkiej i dostatniej. Dziesiąta potęga świata — to brzmiało dumnie. O ile jednak ówczesne dokonania PRL-owskiej gospodarki pozostają dziś w sferze zainteresowań kabaretu „Pod egidą", o tyle ekologiczne skutki tych dokonań wydają się jakby mniej śmieszne. Dziesiąte śmietnisko świata — może się mylę co do pozycji w rankingu? — pogrążone jest w oparach siarki, węgla i ołowiu; poprzecinane tysiącami kilometrów ścieków rzecznych; usłane stosami śmieci dopełniających uroku krajobrazu. Każda wieś, gmina i miasto wbija swój gwóźdź do trumny, która z głośnym hukiem zamknie się w niedalekiej przyszłości, jeżeli nie zostaną podjęte zdecydowane działania na rzecz ochrony środowiska.

Lublin wprawdzie nie dorównał jeszcze Wałbrzychowi (jedno z dwunastu najbardziej zanieczyszczonych miast świata), ale dotychczasowa beztroska władz stwarza realne podstawy, by sądzić, że w marszu do całkowitej degradacji osiągniemy niedługo półmetek. Najwięksi truciciele miasta — FSC, Zakład Energetyczny, Cukrownia „Lublin", Zakłady Mechaniczne „Ursus", Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego, Spółdzielnia Pracy Pralniczo-Farbiarska „Tęcza", Zakłady Piwowarskie — wprowadzają do atmosfery takie ilości zanieczyszczeń, że smog stanie się wkrótce również lubelską specjalnością.

Klasycznym przykładem ekologicznego potwora jest FSC, która bije wszelkie rekordy zanieczyszczeń i dewastacji przyległych do niej terenów. Gospodarka wodna w fabryce jest nieuporządkowana i nie podejmuje się żadnych działań, aby ten stan zmienić. W 1988 roku pobór wody w FSC wyniósł 5 mln. m³, co nie oznacza, że takie było faktyczne zapotrzebowanie. Nie ma bowiem żadnych wiarygodnych danych co do rzeczywistego (koniecznego) jej zużycia, ze względu na brak dokładnych pomiarów ilości wody pobieranej przez poszczególnych odbiorców w zakładzie. Tak wielkie zużycie wody pitnej wpływa na obniżanie się poziomu zwierciadła wód podziemnych i powstawanie leja depresyjnego. Skutki? Niedobory wody u okolicznych mieszkańców (np. rejon Rudnika).

Problemy ze ściekami fabrycznymi, których FSC produkuje ponad 10 tys. m³ na dobę, są efektem bezmyślnej gospodarki wodą. Tylko część tych ścieków (6700 m³ na dobę) odprowadzana jest do miejskiej sieci kanalizacyjnej i za jej pośrednictwem do oczyszczalni „Hajdów". Reszta (3800 m³/d) odprowadzana jest wprost do Bystrzycy. Ryby głosu nie mają — krzyczeć nie będą!

Gdyby dyrekcja FSC pomyślała o możliwościach powtórnego wykorzystania wody np. do chłodzenia sprężarek, można by zmniejszyć ilość ścieków wylewanych do Bystrzycy. Tym bardziej, że oczyszczalnia „Hajdów" (pierwszy etap jej budowy będzie ukończony dopiero w tym roku) nie przyjmie wszystkich ścieków z FSC. Fabryką będzie zatem dalej zanieczyszczać Bystrzycę, na której dnie już teraz zalega półmetrowa warstwa ścieków.

Powietrze wokół zakładu pozostawia również wiele do życzenia ze względu na brak urządzeń skutecznie zatrzymujących pyły i gazy przedostające się do atmosfery. Tylko w 1988 roku FSC wyemitowała około 10 050 ton pyłów, co stanowi wzrost o 41,6 proc. w stosunku do roku 1985 (w tym około 5 387 ton dwutlenku siarki — wzrost o 5,8 proc./85 r. i 2 448 ton tlenków azotu — wzrost 6,8 proc./85 r.). Badania przeprowadzane na tym terenie wykazały znaczne przekroczenie dobowej normy stężeń dwutlenku siarki, tlenków azotu oraz pyłów.

Taka sytuacja wywołuje negatywne skutki dla zdrowia ludności. Mieszkańcy przyległych osiedli chorują na choroby typu astmatycznego, stany zapalne gardła, płuc, uczulenia, choroby układu krążenia itp. Wyraźny wzrost zachorowalności rejestrują pracownicy przychodni rejonowych i specjalistycznych. Emisja stale rośnie, a deklaracje i opracowane programy poprawy tego stanu pozostają w dalszym ciągu na papierze.

Na terenie bezpośrednio przylegającym do FSC i ZM „Ursus" znajdują się Pracownicze Ogródki Działkowe o powierzchni około 10 ha. Przeprowadzone tam badania wykazały znaczne przekroczenie dopuszczalnej zawartości metali ciężkich w glebie. I tak: ołów, kadm, chrom i nikiel przekroczyły wszelkie normy ich występowania w ziemi (np. norma kadmu wynosi 0,1 ppm, a na działkach POD „Jarzębinka" sięga 8 ppm — norma została przekroczona 78 razy!).

W fabryce powstaje w skali rocznej 100 tys. ton różnorodnych odpadów przemysłowych — 60 proc. to żużel i popiół, 40 proc. — odpady mas formiersko-rdzeniarskich. Dużą część tych pozostałości produkcyjnych uciążliwych dla środowiska, jak osady poneutralizacyjne z trawialni i galwanizerni, odpady olejowe, resztki farb i lakierów, wywozi się na tereny nie przystosowane do ich przyjęcia i składowania, m.in. na wysypisko w Jawidzu.

Odpady galwaniczne gromadzone są w obrębie fabryki w sposób naruszający przepisy o ochronie środowiska, a budowa składowiska odpadów (także agresywnych i toksycznych) w Trzcińcu pozostaje wciąż projektem. Niektóre pozostałości (np. olejowe i lakiernicze) spalano lub spala się bezpośrednio w FSC na otwartym placu w warunkach polowych, co wywołuje uzasadnione protesty okolicznych mieszkańców.

Tak przedstawia się w telegraficznym skrócie stan ekologicznych „dokonań" największego zakładu w mieście. W innych przedsiębiorstwach, o których wspominałem, sytuacja nie wygląda lepiej. Dość powiedzieć, że oprócz Tatar, Krochmalnej (proponuję spacer!) i Starego Miasta przekroczone normy skażenia mają: Zadębie, rejon Drogi Męczenników Majdanka, Hajdów i Śródmieście, gdzie stwierdzono trzykrotne przekroczenie dobowej normy stężenia dwutlenku siarki.

Zieleń miejska również odczuwa skutki „poczynań" decydentów, producentów i urbanistów. W ostatnim okresie wycięto ponad 2000 drzew. I nie jest ważne, czy zostały usunięte ze względu na różnorodne prace i budowy, czy też uschły w wyniku zanieczyszczenia powietrza. Drzew po prostu brak, a nowe, posadzone na ich miejsce, rosną kilkanaście, jeżeli nie kilkadziesiąt lat. Truizmem jest więc twierdzenie, że drzewa umierają stojąc.

Do tej pory trwają prace przy likwidacji skutków skażenia produktami naftowymi wód podziemnych w rejonie Zakładu Gospodarki Produktami Naftowymi CPN nr 2 przy ulicy Zemborzyckiej. Efekty podjętych działań są znikome, gdyż dotychczas nie usunięto przyczyn tej katastrofy ekologicznej. Z rurociągów znajdujących się na terenie bazy paliwowej w dalszym ciągu wycieka paliwo do ziemi i wód podziemnych. Przy ujemnym bilansie wody w Lublinie taka sytuacja jest niedopuszczalna i żadne tłumaczenia nie usprawiedliwiają beztroski ludzi odpowiedzialnych za ten stan.

Budowana w ślimaczym tempie (od 1975 r.) oczyszczalnia ścieków „Hajdów" już teraz, tuż przed pełnym rozruchem, nie ma rozwiązanej sprawy osadów, pozostających po oczyszczeniu ścieków. Trzeba je będzie odprowadzać na tzw. pola zalądowania, znajdujące się w Jakubowicach. Teren przeznaczony na ten cel jest zbyt mały i w przeciągu kilku lat (jeżeli nic się nie zmieni) dojdzie do sytuacji, w której, mając oczyszczalnię, nie będziemy mogli z niej korzystać.

Równie „palącą" (a raczej śmierdzącą) sprawą są lubelskie śmiecie, których uciążliwość odczuwają wszyscy mieszkańcy miasta. Daruję sobie w tym miejscu zarzuty pod adresem MPO, bo i tak z góry wiem, co usłyszałbym w odpowiedzi. Tzw. trudności obiektywne w postaci braku taboru, kierowców i „mocy przerobowych" znamy od lat. Śmiecie były, są i będą. Pozostaje jednak pytanie: co z nimi robić? Wysypisko w Jawidzu może jeszcze istnieć najwyżej 2—3 lata. W tym czasie ma być wybudowane nowe składowisko odpadów w Rokitnie o powierzchni docelowej 130 ha. Tak więc problem wydaje się być rozwiązany. Czy na pewno?

Byłem w Jawidzu. To, co widziałem i słyszałem od rolników mieszkających w promieniu kilkuset metrów od wysypiska, nie skłania do optymizmu. Smród bijący z rokładających się resztek jest nie do zniesienia. — Zimą jeszcze można wytrzymać — mówił jeden z chłopów — ale latem po prostu zatyka. Jak w takiej sytuacji wypuścić dzieci na dwór? — pytał. Jego żona od kilku lat cierpi na uczulenie spowodowane zatrutym powietrzem. Miał trzy psy i wszystkie zdechły — zjadły jakieś odpadki, które roznoszą po okolicy wrony, żerujące na wysypisku. Pola, obsiane zbożem, obsadzone truskawkami, nie przynoszą praktycznie żadnych plonów. Ptactwo zjada i niszczy wszystko jeszcze przed zbiorami. W ramach „rekompensaty" chłopi mogą korzystać bezpłatnie z wody, ale tylko od czasu uruchomienia „Rokitna" (?!).

Obok obecnego składowiska odpadów istnieje stare, zasypane już wysypisko, na którym, kosztem iluś tam set tysięcy czy milionów złotych, posadzono krzewy i świerki. Połowa drzewek już uschła, reszta powoli dogorywa. Jeżeli tak będzie wyglądała rekultywacja drugiej niecki wysypiskowej (znając genialne pomysły naszych urzędników, nie wątpię, że dojdzie do kolejnego „zalesienia"), to łatwo można sobie wyobrazić, co będzie się działo w Rokitnie. Taka jest przyszłość. Tylko czy bilans zysków i strat będzie po stronie tych pierwszych? Na pewno nie. Jawidz jest tego najlepszym przykładem.

Powstała w ubiegłym roku, z inicjatywy prezydenta Lublina Edwarda Leńczuka, Lubelska Fundacja Ochrony Środowiska Naturalnego nie rozwiąże kłopotów ekologicznych miasta. Jest jednak szansą, której nie można zmarnować. W planach perspektywicznych Fundacji przewidziano budowę kompostowni i spalarni śmieci w Lublinie. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, co oznaczałoby powstanie tych zakładów w mieście — kompost odpowiadający właściwościom obornika, pozyskiwanie dodatkowej energii elektrycznej, nie wspominając już o likwidacji (przynajmniej częściowej) naturalnych wysypisk śmieci.

Na razie jest to sfera zamierzeń, gdyż Fundacja dysponuje obecnie kwotą zaledwie kilkuset milionów złotych, tymczasem koszt samej dokumentacji kompostowni oscyluje w granicach 400—500 mln. zł. Aby móc zrealizować te plany, niezbędne jest rozwinięcie działalności gospodarczej przynoszącej znaczne zyski. Prezes Fundacji, Leszek Bielski, mówił m.in. o możliwości budowy domków jednorodzinnych, które później byłyby sprzedawane na przetargu za dewizy. Uzyskane w ten sposób pieniądze pomnożyłyby dotychczasowy kapitał i umożliwiły rozpoczęcie właściwych działań związanych z ochroną środowiska. W tej sytuacji, wymagana zgoda odpowiedniego ministerstwa na działalność gospodarczą jest po prostu zwyczajnym nieporozumieniem. Oczekiwanie na taką decyzję skutecznie opóźni i tak odległą wizję budowy spalarni i kompostowni śmieci.

Kraje o niskim poziomie cywilizacyjnym, a do takich należy w niektórych dziedzinach także Polska, winny szczególnie wystrzegać się działań bezmyślnych, degradujących własne środowisko, gdyż nie stać ich na szybkie odrabianie strat, które już dzisiaj przybierają rozmiary katastrofy.

„Komitet PAN »Człowiek i środowisko« — cytuję za „Tygodnikiem Powszechnym" — stwierdził, iż niemal wszystkie wskaźniki zanieczyszczeń uległy w Polsce pogorszeniu w stosunku do lat poprzednich. Istniejące programy i plany okazały się w większości nieskuteczne. Jesteśmy na drugim miejscu (po ZSRR) pod względem ilości dwutlenku siarki emitowanego do atmosfery. Większość województw nie ma już w rzekach nadającej się do picia wody pierwszej klasy. Tylko jeden procent wody jeszcze należy do klasy pierwszej. Zmalał procent oczyszczonych ścieków. Zaledwie co czwarta studnia ma wodę nadającą się do picia. Pyły zawarte w powietrzu potęgują procesy nowotworowe i deformacje genetyczne. Straty wynikające ze zniszczenia otoczenia szacowane są na 10—20 proc. rocznego dochodu narodowego".

# INFORMATOR KULTURALNY

### TEATRY

W LUBLINIE

**Teatr im. J. Osterwy:**
**IV Lubelska Wiosna Teatralna (26.04—26.05)**
26.04 godz. 18: „Dzieci Arbatu" Anatolija Rybakowa; reż. Semen Tierejkowski. Wykonawcy — aktorzy Teatru Dramatycznego im. Leninowskiego Komsomołu z Brześcia.

**Teatr Lalki i Aktora:**

20.04 w Michowie, 21.04 w Opolu Lubelskim: „Don Żan", anonim czeski; reż. Tomasz Jaworski.

**Teatr Muzyczny:**
24.04 godz. 18 (Osiedlowy Dom Kultury LSM, ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę", „Sajlon pana Wzdęckiego" Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

### MUZYKA

W LUBLINIE

**Filharmonia** — 21.04—22.04 godz. 20.15 (gościnnie w Katedrze Lubelskiej): koncert w wykonaniu Orkiestry PFL i Chóru IWA UMCS. Soliści: Danuta Damięcka (sopran), Andrzej Hiolski (baryton). W programie: Requiem — Gabriela Fauré. Orkiestra i Chórem dyryguje Adam Natanek. Przygotowanie Chóru — Lucjan Jaworski. Koncerty poprowadzi — Henryk Schiller.

23.04 godz. 17 (sala PFL): koncert współorganizowany przez Stowarzyszenie Studentów KUL, Zespołem Kameralnym Filharmonii Lubelskiej dyryguje Josef Herter (USA). W programie: ukraińska muzyka kameralna — D. Bortniańskiego — fragmenty z opery „Alkid", Ave Maria, Salve Regina.

**Filharmonia** — 25.04 godz. 19: recital fortepianowy Grigorija Sokołowa (ZSRR). W programie — sonaty Beethovena i Chopina. 26.04 godz. 19: koncert z okazji Dni Kultury NRD. W programie — półrecital niemieckiego pianisty Geralda Fautha oraz III Koncert fortepianowy c-moll L. van Beethovena (solista: G. Fauth).

**Aula Nowa KUL** — 20.04 godz. 19: recital organowy Andrzeja Chorosińskiego. W programie utwory: A. Vivaldiego, J. S. Bacha, C. Francka, K. Szymanowskiego, F. Mendelssohna, Ch. Ivesa. Słowo o muzyce — Gabriela Klauza.

### WYSTAWY

W LUBLINIE

**Muzeum na Zamku** — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988"; — wystawa pt. „Portret w twórczości medalierskiej i numizmatycznej Ewy Olszewskiej-Borys".

**Muzeum Lubelskie** (sala wystawowa w Bramie Krakowskiej) — wystawa poświęcona historii esperanta na Lubelszczyźnie 1887—1944.

**Muzeum Wsi Lubelskiej** (gościnnie w siedzibie „Desy", Krak. Przedm. 58) — wystawa pamiątek z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć".

**BWA** (ul. Narutowicza 4):
— międzynarodowa poplenerowa wystawa rzeźby pt. „Dotykanie materii"; — wystawa fotografii Zygmunta Rytki pt. „Obiekty chwilowe".

**Galeria Grodzka** (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby, instalacji i dokumentacji (artyści z Norwegii).

**Galeria „Labirynt 2"** (ul. Grodzka 3) — wystawa Andrzeja Dłużniewskiego pt. „Zaczepy".

**Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL)** — wystawa prac Aliny Szapocznikow.

**Galeria „Pod Akacją"** (ul. Grodzka 11) — wystawa rysunku satyrycznego Leszka Mędrali.

**Galeria TPSP** (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Stanisława Popka.
**Galeria WDK** (ul. Podgrodzie 3) — 20.04 br. godz. 17. otwarcie wystawy fotografii Jerzego Wierzbickiego.
**Galeria „Środek"** (ul. Kiepury 5a) — wystawa rysunku Ireneusza Wolińskiego.
**Galeria „Kont"** (ul. Zana 11) — wystawa prac Marka Jakuszewskiego.
**Galeria „Nova"** (ul. Grodzka 5) — wystawa prac Jacka Grzesiąka (czynna do 25.04).
**Galeria „Biała"** (LDK ul. Pstrowskiego 12) — 22.04 godz. 18 — otwarcie wystawy prac „młodych" pt. „Biała wiosna".
**Filharmonia** (foyer) — wystawa malarstwa Piotra Bednarskiego.
**Zarząd Wojewódzki Unii Chrześcijańsko-Społecznej** (ul. Narutowicza 30/1) — wystawa malarstwa batalistycznego Stanisława Bodesa.

## „ART MEETING" W KAZIMIERZU NAD WISŁĄ

Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym jest organizatorem trwających do 21 bm. Międzynarodowych Warsztatów Twórczych pod nazwą „Art Meeting". Biorą w nich udział młodzi artyści z wielu krajów Europy, m.in. ze Szwecji, Wielkiej Brytanii, Finlandii, Holandii, RFN, Węgier. Podczas warsztatów prezentowane są działania charakterystyczne dla najnowszych tendencji w sztuce, a więc: instalacja, performance, pokazy video i przezroczy. Odbywają się również spotkania z krytykami sztuki.

Ideą przewodnią imprezy jest próba konfrontacji najnowszej sztuki z tradycjami artystycznymi Kazimierza.

Oprac. A.W.

# TV

## Czwartek 20 kwietnia

**Program I**

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Ośmiornica" (6) — serial senasacyjny prod. wł.
10.20 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia. Dt — wiadmości
16.05 Polskie zdroje — Szczawnica
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii: „Edisonowie"
17.15 Teleexpress
17.30 Raport — Sensacje
17.55 Wojskowy program dokumentalny
18.20 Sonda: Komputerowy klient
18.50 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Ośmiornica" (6) — serial sensacyjny prod. wł.
21.00 Mity i realia
21.05 Pegaz
21.55 Studio XIV Kongresu SD
22.25 Wódko, pozwól żyć...
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język francuski (25)

**Program II**

16.55 Język francuski (25)
17.25 Program dnia
17.30 Rodzice i dzieci
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Strachy na Lachy" (4) — serial anim. prod. ang.
19.30 Puls — program medyczny
20.00 Przeboje „Odeonu" — telewizyjny koncert orkiestry pod dyrekcją Stanisława Gersternkorna
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne Dwójki: Stanisław Bieniasz „Stary portfel".
23.10 Komentarz dnia

## Piątek 21 kwietnia

**Program I**

8.35 Domator: Nasza poczta; Zielono nam; Kuchnie świata — Brazylia
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Sto pierwszy" (2) — film fab. prod. ZSRR
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Studio Sport — Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (Polska — Finlandia)
17.20 Teleexpress
17.35 Z Polski rodem — magazyn polonijny
18.00 „Ostatni kantor, czyli opowieść o narodzie" — film dok. Mai Wójcik
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.10 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 Telewizyjny Teatr Rozmaitości: Edward Lubowski „Jacuś". Reż. Janusz Bukowski
21.20 Mity i realia
21.25 Czas — magazyn publicystyczny
22.00 Po debiucie — Jolanta Jaszkowska
22.30 Szkoła mistrzów — Tadeusz Chmielewski
22.45 Dt — echa dnia
23.00 Ludzie przeciw sobie — „II wojna światowa 1939—1945" (5 ostatni) serial dok. prod. franc.

**Program II**

16.55 Język angielski (54)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie" (16) — serial TVP
19.30 „Dookoła świata" — „U progu południowej bramy Chin"
20.00 Studio Sport — Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (ZSRR — CSRS)
20.50 Brawo dla Bogny Sokorskiej — magazyn muzyczny Barbary Pietkiewicz
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy Johna Hustona: „Przez Pacyfik" — film prod. USA
23.25 Komentarz dnia

## Sobota 22 kwietnia

**Program I**

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fragglesi" — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.15 Studio Sport: Biegi przełajowe w Ostrzeszowie (1)
11.25 Telewizyjny koncert życzeń
11.55 Telemost: Moskwa — Warszawa
12.55 Studio Sport: Biegi przełajowe w Ostrzeszowie (2)
13.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Jerzy Zawieyski — „Krzyk w próżni świata"
14.10 Flesz — program muzyczny
14.25 Studio Sport: Biegi przełajowe w Ostrzeszowie (3)
14.35 Komedie, komedie, komedie: „Marysia i Napoleon"
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Kto pierwszy? (1) — teleturniej
17.15 Teleexpress
17.30 Kto pierwszy? (2) — teleturniej
18.00 Śląski Wawel — film dok. Aleksandry Jarosz
18.25 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Jeż Kleofas
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Historia ogrodów zoologicznych — wiedeński „Dom morza"
19.30 Dt
20.05 „Złoto dla zuchwałych" — komedia prod. amerykańsko-jugosłowiańskiej
22.25 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
22.35 Telewizyjny przegląd sportowy
23.45 Dt — wiadomości
23.50 Jutro w programie
23.55—0.45 Klub senasacji: „Mściciele" — serial prod. japoń.

**Program II**

14.35 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.55 Powitanie
15.00 Małe kino. Miasta świata. „Ateny, Ateny..." — film dok. Sylwestra Kiełbiewskiego
15.30 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
17.00 Godzina z Krystyną Jandą
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 Studio Sport
21.00 W podwójnej roli — Krzysztof Jakowicz
21.30 Panorama dnia
21.45 Publicystyka kulturalna
22.25 „Chłopczyca" (1) — film fab. prod. franc.
23.55 Komentarz dnia
23.20—23.50 „W labiryncie" (16) — serial fab. TVP (powt.)

## Niedziela 23 kwietnia

**Program I**

8.55 Program dnia
9.00 Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie" (24) — serial przygodowy prod. kanad.
10.20 Studio Sport: Biegi przełajowe w Ostrzeszowie
10.50 Dt — wiadomości
10.50 „Wspólnota Pacyfiku" — odc. 8 (ostatni) pt. „Cień wschodzącego słońca" — serial dok. prod. ang.
12.00 Poranek symfoniczny WOSPRiTV. Dyryguje — Antoni Wit. Soliści: Zenon Kowalski (bas), Piotr Nowacki (bas-baryton)
13.00 Telewizyjny koncert życzeń
13.45 Teatr dla dzieci: Kornel Makuszyński „Koziołek Matołek"
14.35 Pieprz i wanilia. Nieznany kraj: „Muzea, muzea"
15.20 Powiększenie — fotomagazyn
15.40 „Katarzyna" (4) — serial kostiumowy prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.10 Pałace polskie: Dobrzyca
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Hoover przeciw Kennedym" (1) — fabularyzowany dokument prod. kanad.
20.55 Raport: Siedem dni
21.05 Sportowa niedziela oraz relacja z Mistrzostw Świata w hokeju na lodzie, mecz Polska — RFN
22.05 Portrety: „Żywioł słowa i dźwięku" — film dok. o prof. Witoldzie Rudzińskim
22.40 Wyniki Totalizatora Sportowego
22.45 Dt — wiadomości
22.50 Jutro w programie

**Program II**

9.55 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.30 „Hoover przeciw Kennedym" (1) — fabularyzowany dokument prod. kanad. (dla niesłyszących)
11.15 Krótkofalowcy — wojskowy program publicystyczny
11.45 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino familijne: „Powrót na Wyspę Skarbów" (1) — film przygodowy prod. ang.
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy" — film dok.
14.40 Z harfą przez stulecia — gra Anna Sikorzak-Olek
15.10 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania" — odc. 10 (ostatni) pt. „Dziś, jutro i my" — serial dok. prod. ang.
16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.20 Non stop kolor: „Voo-Voo" i przyjaciele
17.15 Aktualności kulturalne: Polska muzyka na Litwie
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Bez diabła — spotkanie z Romanem Bratnym
19.30 Galeria 37 milionów: Młodzi wrocławscy malarze
20.00 Stereo i w kolorze: Koncert kameralny
20.50 „Jedno życie" — widowisko wg Anny Achmatowej z muzyką Andrzeja Zaryckiego
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (6) — serial fab. prod. USA
22.35—22.40 Komentarz dnia

## Poniedziałek 24 kwietnia

**Program I**

16.00 Program dnia
16.05 Sportowe disco
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Muzyka i plotki
17.40 Echa stadionów oraz „Piłkarska kadra czeka"
18.30 Laboratorium: Lasery
18.50 Dobranoc: Wierni przyjaciele
19.00 10 minut
19.10 Gorące linie — program publicystyczny
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Nikołaj Erdman „Samobójca". Reż. Kazimierz Kutz. Wyk.: Janusz Gajos, Elżbieta Karkoszka, Izabella Olszewska, Iwona Bielska, Jerzy Trela, Leszek Piskorz, Krzysztof Globisz, Anna Dymna, Jerzy Fedorowicz i inni.
23.30 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
22.40 Spory — program publicystyczny
23.10 Dt — echa dnia
23.30 Język niemiecki (24)

**Program II**

16.55 Język niemiecki (24)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna - polszczyzna. Coraz łatwiej w odmianie
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Tele-trans
19.30 Muzyczne wizyty: Adam Harasiewicz
20.00 Komeda żywy — koncert z okazji 20 rocznicy śmierci Krzysztofa Komedy
21.45 Panorama dnia
22.00 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie" (4) — serial prod. franc.
23.00 Komentarz dnia

## Wtorek 25 kwietnia

**Program I**

8.35 Domator: Rady na życzenie; Chcę schudnąć dla zdrowia i urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (4) — serial prod. CSRS
10.40 Domator: Rady na życzenie
15.55 Program dnia. Dt — wiadomości
16.00 Studio Sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie. W przerwie ok.
17.15 Teleexpress
18.10 Dla dzieci: Tik-Tak
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Dwa małe trzmiele
19.00 10 minut
19.10 Telewizyjny Klub Konsumenta „Stop"
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (4) — „W nowym domu" — serial prod. CSRS
20.55 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 Kasa Napoleona — reportaż o działalności firmy „Napol"
22.15 Sprawa dla reportera
22.50 Rozmyślania prof. Mariana Stępnia
23.00 Dt — echa dnia
23.20 Język angielski (25)

**Program II**

16.55 Język angielski (25)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej" (7) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Non stop kolor — magazyn
19.30 Studio Sport
20.00 „Epopeja Czerwonego Krzyża" (3) — „Powrót wojny" — serial dok. prod. szwajcarsko-francuskiej
21.00 Na warsztacie historyka
21.30 Panorama dnia
21.45 „Krew i honor" (2) — film prod. RFN
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio Sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (Finlandia — RFN)

## Środa 26 kwietnia

**Program I**

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Pięć minut strachu" — film krym. prod. ZSRR
10.50 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.10 Program dnia. Dt — wiadomości
16.15 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.25 Dla młodych widzów: Latający Holender
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Studio Sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie
18.20 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX w.
18.50 Dobranoc: Plastusiowy pamiętnik
19.00 10 minut
19.10 Sejmowe spotkania
19.30 Dt
20.05 „Błąd w rachunku" — film fab. TVP. Reż. Andrzej Chrzanowski. W roli gł. Piotr Machalica
21.35 Kto, jak, kiedy, dlaczego?
22.00 Raport
22.30 Koncert galowy Teresy Żylis-Gary
23.10 Dt — echa dnia
23.30 Język rosyjski (26)

**Program II**

16.55 Język rosyjski (26)
17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
1830 Ze wszystkich stron świata — magazyn reporterów Programu II
19.00 Polacy — film dok.
19.30 Syria — program dok.
20.00 Rewelacja miesiąca: Giuseppe Verdi „Nabucco", cz. I. Wyk.: Renato Bruson, Bruno Beccaria, Paata Burchuladze, Ghena Dimitrova, Raquel Pierotti, Mario Luperi, Ernesto Gacazzi, Francesco Garbi oraz Chór i Orkiestra Teatru La Scala w Mediolanie. Dyryguje Renato Muti
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się" (18) — „Skok śmierci" serial TVP
22.55 997 — kronika kryminalna

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 590. 10.04.89. B-4

POLSKIE GOSPODARSTWO

# „CZASEM GŁUPI LEPIEJ KUPI"

## Andrzej W. Pawluczuk

JAK czytelnicy już zapewne wiedzą, unikam w swoich felietonach epitetów, lubię zaś posługiwać się faktami i liczbami. Nic bowiem nie stanowi lepszego argumentu w dyskusji, a i lepszego chwytu propagandowego. Zawsze wiedzieli spece od mass mediów, że gołosłowność wzbudza nieufność. Toteż najlepsze gazety świata budowane są na informacji i jeszcze raz na informacji.

Otóż jedyna godna uwagi informacja w felietonie Waldemara Piaseckiego „Mój program atomowy" („Relacje" nr 12) jest taka, że autor felietonu ma za głupków tych, którzy sprzeciwiają się w Polsce budowaniu elektrowni atomowych. Uznaję to za informację, ponieważ na swoje prywatne przekonanie nie potrzebuje on dowodu. Dowód natomiast potrzebny jest wówczas, gdy twierdzi się, że energetyka atomowa w Polsce jest lepsza niż konwencjonalna.

Aby to jednak udowodnić, potrzeba trochę chociaż wiedzieć o sprawie. Widocznie jednak red. Piasecki nie przeczytał ani jednego poważnego artykułu na ten temat. Same dobre chęci dla poparcia programu energetycznego ministra Wilczka nie wystarczą bowiem, aby przekonać opornych. Ale ja jestem oporny, i choć zaliczony pewnie zostanę do „skansenu umysłowego", pozwolę sobie na parę liczb.

Otóż według tak poważnego autorytetu w dziedzinie energetyki i węgla, jakim jest bez wątpienia Stanisław Albinowski („Pułapka energetyczna gospodarki polskiej"), na jedną jednostkę wytworzonego dochodu narodowego zużywamy trzy (tak!) razy więcej energii niż Francja czy Wielka Brytania. Dalej: chociaż mieszkamy w klimacie daleko cieplejszym niż Szwedzi, na ogrzanie jednego metra powierzchni mieszkalnej zużywamy od 50 do 90 procent więcej ciepła niż oni. Dalej: dwukrotnie więcej prądu marnuje się u nas w sieci przesyłowej, ten wskaźnik wynosi w Polsce aż — niewiarygodne! — 20 procent. A jeżeli już ktoś „mądry" lubi powoływać się na przykład krajów wysoko rozwiniętych, to powinien naprzód sprawdzić, jaki jest u nich procentowy udział węgla w wytwarzaniu elektryczności.

Otóż w Stanach Zjednoczonych, które przodują w świecie pod względem technologicznym i ekologicznym, w roku 1973 uzyskiwano z węgla 81 procent energii, zaś w roku 1988 ten wskaźnik przekroczył 90. Analogicznie w Polsce wynosił w roku 1973 — ok. 30 procent, by w roku 1987 dojść zaledwie do marnych 43 procent. Słowem — węgla w Polsce nie brakuje, tylko się go idiotycznie zużywa, marnuje się tego naszego węgla ogromne ilości.

Stanisław Albinowski obliczył to bardzo skrupulatnie: marnujemy bezproduktywnie 122 miliony ton węgla kamiennego rocznie, czyli przeszło 80 procent naszego rocznego wydobycia. Obrazowo można to ująć inaczej: gdybyśmy zużywali energię tak racjonalnie, jak robi to Zachód czy Korea Południowa, moglibyśmy wyprodukować wszystkiego (dosłownie wszystkiego: samochodów, lodówek, pralek, telewizorów, butów itd.) trzy razy więcej. Nie wymagam aż tyle: wyprodukujmy dwa, a nawet pół raza więcej.

Tymczasem zamiast brać się za restrukturalizację archaicznego przemysłu, zamiast się unowocześniać i doganiać świat, rzuca się myśl — jak to zwykle u nas — najłatwiejszą: więcej prądu, i mami się niezorientowanych ludzi, że będzie od tego większy dobrobyt i więcej świeżego powietrza. Tymczasem jest to wierutne kłamstwo. Jeżeli będziemy mieli więcej prądu, to przestarzała struktura gospodarcza tylko się utrwali, nikt nie będzie myślał, aby oszczędzać powietrze i nasze płuca. Trzeba nie mieć absolutnie pojęcia o mechanizmach naszej gospodarki, aby wyobrazić sobie, że energetyka jądrowa przyniesie krajowi czyste powietrze i czyste wody.

Ale są jeszcze dwa dodatkowe aspekty tej sprawy. Trzeba uderzać na alarm, bo — jak mawiano już w Polsce w wieku XVII — „co jeden głupi zepsuje, tysiąc mądrych nie naprawi", oraz „głupiego próżno uczyć". Mam nadzieję, że red. Piasecki nie obrazi się, boć przecie sięgnąłem tylko do jego sposobu argumentowania.

Otóż, po pierwsze, nieprawdą jest, jakoby energetyka jądrowa była „czysta". Ona jest czysta zaledwie przez 20 lat pracy jednego reaktora. Zaś przez następne kilkaset, a nawet kilka tysięcy lat, zużyte paliwo wysyła w glebę i atmosferę swoje śmiercionośne promienie, i jaki może być z tego skutek dla następnych pokoleń, nikt jeszcze nie wie.

Po drugie: jeżeli nie potrafimy wyprodukować odpowiedniej ilości sera, kuchenek turystycznych dwupalnikowych i ułożyć równo asfaltu na ulicy — na pewno nie potrafimy zapewnić bezawaryjnego funkcjonowania elektrowni atomowej. Przykład ślimaczącej się budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu dowodzi, że przemysł PRL nie umie poradzić sobie z najprostszymi sprawami. A więc nie ten poziom technologiczny, panowie i przestańmy wreszcie oszukiwać społeczeństwo i robić miny do gry, która pachnie grubą przegraną.

Skoro tytuł tego felietonu zaczerpnąłem z „Nowej księgi przysłów polskich", wypada przysłowiem go zakończyć. Otóż już w wieku XVIII mawiano w Polsce, że „lepiej z mądrym kozy pasać, niż z głupim w karty grać". Takoż i ja wolę „z mądrym zgubić, niż z głupim znaleźć". A jeżeli ktoś zechce mnie przekonywać, że nie mam racji, niechaj robi to w oparciu o fakty i liczby.

WIZA
Z MERITUM
NAJSZYBCIEJ !!!
LUBLIN
KRAKOWSKIE
PRZEDMIEŚCIE 49/2
Tel. 205-58 od 10 do 16
2954/K

Fot. Waldemar Stępień

# KTO JEST KIM W REGIONIE

**DUBEL Anna.** Kobieta po 40, w dobrej formie. Mężatka. Mąż Edward. Absolwentka Wydziału Prawa UMCS. Kapitan MO. Przepracowała dwadzieścia lat w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym, zajmując się początkowo przestępstwami kryminalnymi, a potem gospodarczymi. Od czerwca 1988 rzecznik prasowy szefa WUSW.

Wyznaje optymistyczny pogląd na życie. Uwielbia zwierzęta (jest właścicielką psa Rudzika przygarniętego z ulicy) i kwiaty (zwłaszcza piwonie i astry). Najlepiej wypoczywa na działce. Pokonując trudności zaopatrzeniowe, stara się wykończyć na niej domek.

**HARASIMIUK Stanisław.** Lat 50. Żonaty. Żona Alicja. Dwoje dzieci: córka Agnieszka, syn Adam. Absolwent polonistyki w Uniwersytecie Warszawskim (1964). Dziennikarz. Człowiek wielu zawodów: nauczyciel w liceum, specjalista od zboża w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego i Skupu, pracownik FSC, redaktor naczelny „Głosu FSC". Po otrzymaniu I nagrody w konkursie „Życia Literackiego" (1968) za tekst „Szanowny Panie Profesorze", przeniesiony do kuźni FSC na etat pracownika fizycznego. Następnie inspektor w Polskich Zakładach Zbożowych (odróżniał żyto od pszenicy), kierownik Działu Artystycznego WDK, potem sekretarz Towarzystwa Kultury Teatralnej w Lublinie. Następnie wraca do zawodu, jako redaktor techniczny gazetki „Eda" w Poniatowej. (W Lublinie nie było dla niego miejsca w dziennikarstwie). 1 kwietnia 1974 (prima aprilis) zatrudniony w „Sztandarze Ludu". Obyło się bez trzęsienia ziemi. Po tekście „Buraczane Eldorado" przeszedł do pracy w „Tygodniku Kulturalnym", gdzie pracuje do dziś.

Przez owe 50 lat udało mu się płynąć i nie dać się zatopić, choć wiry wciągały go co chwila tu i tam. Może dzięki temu — jak mówi — może się golić co rano bez odwracania twarzy od lustra.

**MĄDZIK Leszek.** Lat 44. Żonaty. Żona Alina. Dwie córki: Liwia i Ludwika. Członek Sekcji Scenografii dawnego ZPAP. Twórca i kierownik artystyczny Sceny Plastycznej KUL. Dwukrotnie brał udział w Quadriennale Scenografii w Pradze, gdzie otrzymał wyróżnienie, a wraz z Tadeuszem Kantorem uczestniczył w Triennale Scenografii w Tbilisi. Ze swoim zespołem zjeździł całą Europę. Brał udział w wielu prestiżowych festiwalach, m.in. Fest Woche w Berlinie Zachodnim i Spectrum w Austrii. Ostatnio wystąpił z cyklem wykładów w USA, odwiedzając uniwersytety od Waszyngtonu, przez Berkeley, San Francisco do Nowego Jorku. „Scena Plastyczna" gościła w Stanach Zjednoczonych trzykrotnie. W planach ma udział w zajęciach jedynej na świecie Teatralnej Szkoły Światła w Helsinkach.

Gdy przeglądał kiedyś polskie WHO IS WHO, przypadło mu do gustu stwierdzenie Magdaleny Abakanowicz, że hobby to przecież życie. Dlatego zawsze powtarza, że wciąż realizuje ten sam spektakl. Istnienie teatru jest właśnie jego istnieniem, jest tym, co czuje. Te dwie sprawy stanowią jeden krwiobieg. Nie można ich rozdzielić.

**OPRYŃSKI Janusz.** Lat 36. Żonaty. Żona Anna, syn Szymon. Absolwent filologii polskiej UMCS. Od 1976 roku w teatrze „Provisorium", od 1977 jego szef. Aktor i reżyser. Twórca głośnych spektakli: „Wspomnienia z domu umarłych" i „Pusta estrada". Ostatnio odbył wraz z teatrem tournée po Wielkiej Brytanii, RFN i Szwecji. Brał udział w słynnym festiwalu w Edynburgu.

Ma jeden tylko sposób na życie: mówić prawdę. Wolne chwile spędza w cichym miejscu nie opodal Lublina.

## W numerze 15. opublikujemy:

● PRZEKRACZANIE GRANIC — WYWIAD z B. TABORSKIM ● ŻONY SŁAWNYCH POLAKÓW ●
AFERA W BIŁGORAJU ● PRZECIW „KONFRONTACJOM" ● LUBELSKA „BIAŁA PLAMA" ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW